Nr. 3. Lwów, Niedziela dnia 4. października 1874 r. Rok I.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr., półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŹNE UWAGI.

III.

Jeszcze o książkach popularno-naukowych.

Zeszłego tygodnia mówiliśmy na tem miejscu o tej warstwie naszego społeczeństwa, która opuściwszy ławki szkolne, nie widzi środków dalszego rozwijania się umysłowego. Nadmieniliśmy przy tej sposobności, że dobre książki popularno-naukowe, mogłyby w tym kierunku złemu zaradzić. Zastanówmy się teraz, na jakiej drodze moglibyśmy najłatwiej przyjść do takich książek.

Od pół roku istnieje we Lwowie Towarzystwo, zarejestrowane z ograniczoną poręką, na którego czele stoją ludzie zdolni i gorliwi. Zawiązało się ono w celu wydawania książek szkolnych i naukowych, nie wykluczając atoli popularno-naukowych i mniejszych podręczników. Od pół roku gromadzi członków, zebrało nawet znaczniejsze kwoty, ale nie wydało żadnego dzieła; co więcej nawet, do tej chwili nie ma jeszcze ani jednej książki, zasługującej na ogłoszenie drukiem. O ile nam wiadomo, z kilku stron nadesłano mu fragmenta i dzieła skończone; z pierwszych jednak trudno było wnioskować o wartości całej pracy, drugie zaś nie odpowiedziały słusznym wymaganiom.

Zdaniem naszem, działalność Towarzystwa, o którem mowa, długo jeszcze będzie bezowocną, jeżeli jego Rada nadzorcza nie zmieni pod pewnym względem swoich zapatrywań.

Najpierw, Towarzystwo nie może marzyć o dziełach ściśle naukowych i przy tem oryginalnych; powtóre, nie powinno wysuwać na pierwszy plan książek szkolnych. W Polsce nie mamy jeszcze wielu takich uczonych, którzyby obok swego zajęcia mogli oddawać się pisaniu dzieł źródłowych; książki zaś szkolne nie powstają w jednym roku. Doświadczenie uczy, że dobra książka szkolna jest owocem długoletniej pracy całego narodu, wynikiem, że tak powiemy, jego cywilizacji. Towarzystwo powinno zatem ogłaszać konkursa na dobre książki szkolne i oryginalne dzieła naukowe; a zanim te się zjawią, zająć się tymczasem wydawaniem dzieł innych, mniej kosztownych, zapewniających pożytek krajowi, a Towarzystwu, obok prawdziwej zasługi, korzyść materjalną.

Takiem wydawnictwem są książki popularno-naukowe, tłumaczone z obcych języków.

Mądrość jest ogólna, na śmieszność zatem ten się naraża, kto ją chce zamknąć w ciasnem kole partykularyzmu. Jeżeli Niemcy zapożyczają się u Anglików, a Francuzi u Niemców i Anglików, to czyż my nie możemy korzystać ze skarbnicy wiedzy innych narodów cywilizowanych? Zresztą, wiadomą jest rzeczą, że ten tylko kraj może sam stworzyć prawdziwie dobre dzieła naukowo-popularne, który liczy bardzo wielu uczonych. Łatwiej napisać dzieło uczone, jak popularne; pierwsze wymaga tylko erudycji, drugie erudycji i formy. A my, czy mamy tak wielu uczonych, umiejących naukę przystępnie wypowiedzieć? Niemcy, mimo wysokiej swojej cywilizacji, dotąd się tej sztuki nie nauczyli. Zamiast więc czekać, aż między nami zjawią się zdolności w tym kierunku, bierzmy co dotąd stworzyły inne narody, a pożytek dla kraju będzie widoczny.

Towarzystwo nie powinno także zapominać, że wzrost jego i skuteczna działalność zawisły głównie od powodzenia pierwszych dzieł, które w świat puści. Jeżeli te pierwsze będą ściśle naukowe lub szkolne, ogół przyjmie je obojętnie; ściśle naukowe są jeszcze dla niego za poważne, szkolne zaś obchodzą tylko uczącą się młodzież. Natomiast książka popularno-naukowa, stanie się potrzebą powszechną i znajdzie się w każdym domu. Od dwudziestu przeszło lat żyliśmy powieścią, która nas czytać uczyła; nauczywszy się czytać, zapragnęliśmy wiedzy; ale ta wiedza musi nam być jeszcze podana w formie nadzwyczaj przystępnej, jeżli nas ma zająć, nie zaś przestraszyć i zniechęcić. W kraju obudza się coraz większe pragnienie nauki — a więc korzystając z chwili, pomyślmy o przystępnej nauce.

Rzuciwszy dziś tych kilka myśli, w nadziei, że Towarzystwo do wydawania dzieł naukowych i szkolnych zechce się nad niemi zastanowić, kończymy nasze uwagi wynurzeniem głębokiego przekonania, że dzieła naukowe oryginalne i dobre książki szkolne, mogą się pojawić tylko na podstawie rozpisywanych konkursów, a tymczasem należy rozpocząć działalność od dzieł popularno-naukowych, tłumaczonych z obcych języków.

W jednym z przyszłych artykułów wyłuszczymy system, w jaki tego rodzaju wydawnictwo ujęte być powinno.

SERCE I RĘKA.

Powieść prawie historyczna

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Zupełnie do tego jestem przygotowanym — odrzekł Zygmunt.

— A tout prix! dodał ojciec znacząco, odkaszlnął i spojrzał na syna.

— Co to ma znaczyć? spytał Zygmunt puszczając dym z cygara... starą wdowę, rozwodkę nie osobliwszej reputacji, czy bardzo brzydką i kalekę pannę?...

Ojciec milczał chwilę i pocierał włosy.

— Nie zgadłeś, odezwał się po namyśle, żaden z tych wypadków... ale — naprzód — słowo honoru Zygmuncie, że to co powiem, zostanie — absolutnie między nami.

Syn głową dał znak obojętnego przyzwolenia.

— Jaki majątek? zapytał naprzód.

— Jedynaczka, majątek wynosi kilka miljonów, ojciec dobry gospodarz, człowiek rządny, matka rozrzutna i lubiąca się bawić... roztrzepana.

— Bardzo? zapytał Zygmunt.

— Dosyć, dosyć — lubi młodzież.... Jej względy, — rzekł szambelan z pewnym przyciskiem znaczącym, pozyskać możesz łatwo i — powinieneś.

— Więc to matka stanowi kalectwo?... podchwycił syn....

— No — i tak, i nie — począł szambelan, jest pono coś więcej, ale o tem mało kto wie... największa tajemnica... Dla ciebie, mój Zygmuncie, który masz rozum i, spodziewam się, pozbyłeś się przesądów, z góry wiadomem być musi to co dla drugich jest zakryte: panna miała romans z nauczycielem muzyki i przez kilkanaście dni, uciekłszy z nim... bawiła, póki jej matka nie odebrała....

Spojrzał mówiąc to na syna; Zygmunt słuchał spokojnie.

— Kiedy o tem wiesz, musi to nie być tajne i innym? rzekł sucho.

— Jest gawęda... dowodów nie ma... możesz to nazwać potwarzą. Stało się zagranicą, nigdy nie było głośnem... panna jest wychowana starannie, piękna bardzo powiedziałbym, prawie nadto piękna... rozumna, śmiała.... Zdaje się, że w sercu nosi dotąd swego jegomości, za mąż iść nie chce.... Książe M. starał się o nią, hr. N... i F. i D.

— Więc to nie przyjdzie łatwo... choć na tej brzoskwini jest plamka....

— Plamka się zmywa... to głupstwo — dodał ojciec.... Staranie nie będzie zapewne bardzo łatwem, bo i pannę i matkę trzeba zdobywać, ojca ja po części biorę na siebie.... Co mówisz o tem?

— Chciałbym — po namyśle odezwał się syn — widzieć gdzie wprzódy osoby o których mowa, żywe... en chair et os — w takich razach opis nie starczy, oczy jedne usłużyć mogą... porwać się i pójść z kwitkiem nie chcę... byłbym skompromitowany. Jeśli przedsiębiorę to à bon escient.

Wstawszy z ławki, szambelan zaczął się przechadzać po altanie.

— Rodzina, dodał powoli, co się nazywa znakomita, Radziwiłłowie w rodzie, cała Polska pańska i magnacka w koligacji. Będziesz mógł mówić — ma tante la princesse, mon cousin le roi..: itp.... To coś znaczy.... Majątek kolosalny.... Matka już podstarzała stracić wiele nie może... a ojciec stoi na straży....

— Ale panna?

— Poszedłszy za mąż, zapomni owego jegomości, jeżeli o nim jeszcze pamięta. Masz dosyć taktu, aby się nie lękać tego, co we krwi mogła dostać po matce.... Zresztą, mój drogi, gdzie się tak wielkie dokonywają sprawy, gdzie idzie o stanowisko imienia i rodu, o wpisanie się dans le livre d'or arystokracji europejskiej — coś można poświęcić.

Spojrzał na syna, ten zamyślony milczał paląc cygaro.

— Niema co zwlekać, dodał ojciec, może nas kto uprzedzić.

— Imię rodziny? zapytał syn.

Ojciec zbliżył się do ucha i szepnął nazwisko pana Radzcy z Zabrzezia. Brzmiało ono wspomnieniami kilkosetletniemi i zrobiło wrażenie na Zygmuncie.

— Koniec końcem — odezwał się z głębokiem westchnieniem — trzeba psu oczy sprzedać jednakże....

— A ileż się one razy sprzedają za daleko tańszą stawkę? podchwycił ironicznie szambelan... Demokraci, którzy sami nie są lepsi, mogą sobie hałasować, pluć, gadać, co im się podoba — co nam to szkodzi? Naprzód nikt im nie uwierzy, bo wiadomo że szkalują nas systematycznie — powtóre, nie żyjemy z nimi, siły nie mają — z wrzaskiem się obyliśmy... mniejsza o to....

— Historja panny jest więc dosyć głośna?

— Nic a nic — ledwie coś, gdzieś, może ktoś się domyślił i szepnął.... Wycieczka owa z muzykiem była doskonale zatartą przez matkę, która podobno sama z nim jeszcze romansik mieć życzyła.... Ludzie więcej dochodzą, niż wiedzą, więcej przeczuwają, niż są pewni.... Dla ciebie tylko niechciałem ażeby rzecz była tajną. Cóż ci to szkodzi, że się ożenisz z wdową?

— Umarł? zawołał Zygmunt.

— Kto? zdziwiony zapytał ojciec odwracając się.

— A — muzyk....

Uśmiech przebiegł po ustach szambelana, który wistocie nie wiedział czy żył, czy umarł, ale dla zaspokojenia Zygmunta, pospieszył potwierdzić.

— Umarł! umarł! i pochowany dawno! Cóż myślisz o tem?

— Ja — poważnie począł Zygmunt — ja — no, niemam nic przeciw temu. Niechciałbym tylko pójść z kwitkiem.

Ojciec począł go ściskać namiętnie.

— Ale to całkiem od ciebie zależy! odezwał się wesoło... przyznam ci się, że gdyby tak inny nie ty zamierzał się z nią ożenić, może bym się obawiał, o ciebie jestem zupełnie spokojnym. Cieszy mnie niewymownie, że w zasadzie przyjmujesz mój projekt. Trzeba mieć rozum.

— Tak, rozum, ten jakim Trębecki uczcił słówko Hetmana do Podskarbiego (Ma pan rozum! Trębeckiego wiersz).

— Trzeba mieć rozum, nieprzerywając sobie mówił szambelan.... Kto chce żyć i do czegoś dójść, musi być człowiekiem praktycznym. Słowa, ideje, przesadzone pojęcia honoru, są dobre dla tych, którzy mogą się sobie niemi bawić lub gotowi dla nich głodem mrzeć — La vie est une chose tres positive.

— Vous prechez un converti! odezwał się Zygmunt wstając z ławki. — Najzupełniej podzielam zdanie ojca — podstawy materjalne życia, warunki bytu, to najpierwsza rzecz. Są ludzie, co inaczej mówią, mało jest takich, coby inaczej robili — J'ai le courage de mon opinion.

— I dla tego ja spokojnie umrę, w zachwyceniu ściskając syna dokończył ojciec — bo wiem, że ty się zadeptać nie dasz... i wybijesz się — powinieneś... masz potemu wszelkie wymagane przymioty! Nastręczam ci pole popisu — idź, zobacz — i zwycięż!...

— Jeżeli pójdę w istocie — to zwyciężyć muszę... rzekł syn.

— Tak, choćby ci przyszło nawet naprzód samą matkę bałamucić i zbałamucić.

Rozśmieli się oba... Ojciec uszczęśliwiony jeszcze raz z serdecznością niewymowną uściskał Zygmunta.

— Poczciwe, dobre, kochane dziecko! zawołał w zapale.... Niema się tu co namyślać. Wypocznij dzień, opatrz garderobę, ustrój się na wyprawę... i — jedźmy.

Po tej naradzie w dni kilka w istocie ruszył pan Zygmunt sam. W okolicy miał on znajomego hrabiego Justa... z którym razem w klubie strzeleckim grywali i dawali wieczorki baletniczkom. Just, chociaż znacznie majętniejszy od Zygmunta, bo miał obszerne dobra i nadzieje na ciotkach, bratersko się z nim poprzyjaźnił. Był to jeszcze nie wyszumiały młodzieniec, który potrzebował Mentora do rozpusty, a Zygmunt najlepszym w tym względzie był dla młodzieży; — pokochali się bardzo, tak bardzo, że hrabia Just pożyczył półtora tysiąca talarów przyjacielowi.... Rok upłynął od tego czasu, odwiedziny więc były doskonale umotywowane tem, że Zygmunt osobiście chciał przeprosić za to, że pieniędzy nie miał i oddać ich nie mógł — podróż była przedsięwzięta na zwiady. Los w tym razie doskonale usłużył Zygmuntowi, bo Zabrzezie od Muranowa, rezydencji hr. Justa było o milę, majątki się stykały....

I to za wielkie szczęście poczytać można, iż zastał w domu gospodarza, który nigdy nie siedział tu, a wróciwszy z jednej podróży, natychmiast w drugą się wybierał.

Just nie posiadał się z radości. Trzy dni przesiedziawszy w Muranowie, nudził się śmiertelnie. Powitał w ganku przybyłego, mało go nie udusiwszy przez wdzięczność. Dwa dni nie było mowy o niczem, tylko o rzeczach potocznych. Just powracał właśnie z Baden, gdzie paryska żydóweczka Nella, opanowała go była na dwa tygodnie; odbił mu ją Anglik i wywiózł z sobą do Egiptu.— Just nie mógł się jej odżałować.... Mówił o niej bezprzestannie.... Trzeciego dnia przy objedzie zgadało się o sąsiedztwie.... Licząc swych najbliższych, hr. Just wymienił Zabrzezie.

Zygmunt udał, że nazwisko pierwszy raz w życiu usłyszał.

— Dom pański — rzekł gospodarz, stary Radzca człowiek stateczny i djabelnie zasobny.... Majątek ogromny.... Mama lubiła figlować, ale to już przechodzi.... Za chwilę wybije godzina dewocji, fundowania bractw i słuchania nabożeństw. Jeszcze to nie nadeszło, ale już są oznaki przygotowawcze.... Córka piękna jak anioł... ale dziwaczka.... Miała pretendentów bardzo majętnych i dobrze wychowanych, a za mąż iść niechce. Jest w tem jakaś tajemnica?

— Cóż to być może? podchwycił Zygmunt, tajemnice panien zwykle są całemu światu wiadome....

— Ja nie wiem... — wahając się szepnął Just.

— Jakto, nic a nic? badał śmiejąc się z doskonale odegraną obojętnością Zygmunt.

— A no — nic — bo — przyznam ci się, że znowu plotkom głupim wierzyć nie mogę.

— A te plotki!

— Niema w nich sensu! zamknął Just — c' est bete!

Po chwili sam ciągnął nie pytany.

— To pewna, że panna ma lat dwadzieścia kilka, do trzydziestu.... Że daje harbuzy wszystkim, że zresztą oprócz tego dziwactwa, nic jej zarzucić nie można, bo i piękna i rozumna... i dowcipna....

— Zaostrzasz moją ciekawość! rzekł Zygmunt.

— A ba! jeśliś ciekawy, to pojedziemy. Goście są tam pożądani, szczególniej samej pani, która się bieli, różuje, smaruje nawet na dnie powszednie i radaby snać płodami kunsztu, przed młodemi oczyma się pochwalić.

Nazajutrz wybierając pomiędzy polowaniem, a wizytą, nieznacznie ku temu podżegnięty, hr. Just kazał zaprządz i pojechali do Zabrzezia.

Pańska co się zowie i na najwyższym stopniu elegancji rezydencja, uczyniła wielkie na Zygmuncie wrażenie. W duchu powiedział sobie jak Henryk IV że nabycie takiego wspaniałego pałacu warto pewnej ofiary. Znał nadto dobrze ludzi by nie wiedział, że tylko ubogich grzechy są nieprzebaczone; majętni na złotych szatach bezkarnie plamy noszą. Im wszystko wolno, są to przywileje stanu.

Z wielką uwagą przypatrywał się panu Radzcy. Był to człowiek nie stary jeszcze, a przynajmniej zachowany tak, że się wcale nim nie wydawał, pięknej postawy, twarzy świeżej, oka jasnego, czoła podniosłego — w obejściu uprzejmy, ale szczelnie w sobie zamknięty.... Miał w sobie coś żołnierza i coś dyplomaty i wiele pana z antenatów; ostatnim był w istocie, a pierwsze dwie cechy nadała mu cicha walka z losem i utrapienie z żoną. Nie było po nim wcale znać nieszczęśliwego w pożyciu — dla pani był jak najczulszym. Z wielkim taktem przyjął i bawił młodych gości.

Sama pani wyszła nie rychło, gdyż musiała stosowną dokonać toaletę, a może czekała aby się odrobineczkę zmierzchać zaczęło. Zdala wydawała się jeszcze wcale piękną, chociaż wiek wypełnił formy do zbytku. Głowa była znakomicie wymodelowaną, rączki wzorowych kształtów.... Oko czarne błyskało jeszcze ogniem i dowcipem.... W prawdzie zmarszczki, choć powyciągane, zarysowały się około powiek i ust, ale o zmroku nikły prawie niepostrzeżone. Zygmunta zmierzyła oczyma ciekawemi i widać było, że na niej uczynił dobre wrażenie. Może miał nieco podobieństwa do owego Bratanka.

Gdy hr. Just zagadywał o sprawach krajowych, obywatelskich i gospodarskich z panem Radzcą, Zygmunt z całym fajerwerkiem wiadomostek, dowcipów, plotek, nowości i nowinek popisywał się przed panią. Był niesłychanie wesół i odegrał do końca rolę człowieka, któremu gospodyni niezmiernie przypadała do temperamentu, smaku i humoru. W pół godziny nawet oświadczył jej po cichu, iż rzadko tak miłą znajdował na wsi rozmowę. To pochlebstwo i kilka wyrazistych wejrzeń... dopomogły do porozumienia się. Pani była zachwyconą tym gościem.

Panna Olimpja, domyślając się jakiegoś nowego myśliwca polującego na jej posag, nie wyszła. Zygmunt był tak przewrotnym, iż nie okazał najmniejszego znaku, ażeby go to obeszło.

W końcu rozmowy, gdy się coś zgadało o nim, o jego projektach, naplótł najdziwniejszych rzeczy o swych przyszłych podróżach i dał do zrozumienia, iż nierychło się tu znowu pokazać może.

Tym sposobem pierwszy rzut oka na dom zyskawszy, nie kompromitując się wcale, nabrał przekonania że się tu da coś zrobić, postępując z taktem a ostrożnie. Pozostał kilka dni u hr. Justa i równie chodząc zręcznie około niego jak w innych wypadkach, naprowadził go na to, że mu folwark wypuścił dzierżawą. Zygmunt łaskę niby robił Justowi biorąc go — i niby najmniejszego nie miał zamiaru i niby dał się umodlić. Dokonawszy tego pojechał do ojca. Ten niecierpliwie nań oczekiwał, przysposobiwszy się do zaciągnięcia długu, jeśliby syn konkury chciał rozpocząć. Po herbacie rozmówili się otwarcie.

— Widzi kochany ojciec — ja, ja muszę postępować z całą rozwagą i obrachowaniem... rzekł p. Zygmunt. Z tego, co wiem o ludziach i domu, przypuszczenie gwałtownego szturmu, zwykłe formy konkurów na nic by się tu nie zdały. Tu trzeba iść powoli, z ukosa, nie okazując dokąd się idzie... zniewolić do tego aby oni sami poddali myśl starania się.... Trzeba ująć ojca... wielkim taktem i prawością, matkę zdobyć prawie czułością i śmiechem, umizgiem i zabawą.... Co się tyczy córki, tej — zdaje mi się okazać należy, iż może być pewną swobody i poszanowania.... I tam dalej, i tam dalej. Dla tego, dodał Zygmunt, nie występuję wcale jako starający się kawaler — jestem sobie dzierżawca, przyjaciel od serca hr. Justa... przeniosłem się do Księstwa, dla tego że mi w Królestwie było duszno... o tem mówi się niewyraźnie, tajemniczo, dając wiele do domyślania. W dzierżawie trzeba się urządzić jak na popasie, ale po pańsku i z wielkim gustem, kucharz i piwnica muszą być doskonałe, konie znakomite... służba... Francuz albo Anglik.... Nie mogę być dzierżawcą zwykłym — jakim... malkontentem szukającym spokoju.... Ojciec mnie zrozumie.... Potem nudzę się, bywam zrzadka, bardzo rzadko nawet u Radzcostwa.... Pani mnie sama musi zniewolić do częstszych odwiedzin i zapraszać. Panna, gdyby była świętą, nie oprze się ciekawości widzenia mnie przynajmniej. Będę zimny, obojętny i zajęty — matką. Matki łaski zaskarbię.... Córka... ha!... Zobaczywszy ją, znajdę środki podobania się... zresztą, na wpływ ojca i matki rachuję... à propos, herbowne guzy i blachy... papa dostarczy, nawet taśmy dla lokajów; taśmy z herbami... są très comme il faut....

Ojciec słuchając, omało się nie rozpłakał; niemy uścisk nagrodził rozumnego syna.

— Zygmuncie! tobie dyplomatą było trzeba zostać, tybyś Talleyranda w kąt zapędził.... Słowo daję! Co za takt! jakie obrachowanie, zimna krew w twoim wieku. Przeszedłeś moje oczekiwania.... Nie cofaj że się! — zawołał z uniesieniem.... Co cię obchodzi przeszłość panny, o której nikt nie wie! Daj jej do zrozumienia, że jesteś zwolennikiem emancypacji i zupełnej swobody kobiet, że krępować jej w niczem nie będziesz. To głupstwo!

Zygmunt podparty na łokciu, patrzał na ojca z uśmiechem prawie protektorskim.... Szambelan czuł, że w dziecięciu znalazł mistrza, który go przeszedł o wiele.

— Teraz tylko jedna rzecz, kochany ojcze — rzekł Zygmunt dawszy mu się zupełnie wygadać aż do niedorzeczności. Gramy oba, ażeby grubo wygrać, bez stawki tu nic nie będzie — musisz kochany ojcze dostarczyć pieniędzy.... Położenie moje wymaga nieodzownie pewnej mise en scene; hr. Justowi muszę dług zapłacić, wyekwipowanie się, dzierżawa itp. kosztują sporo....

Szambelan potarł się po czuprynie, lecz nie zaprotestował, konieczność pieniężna była oczewistą. Biedak jednak stracił tak kredyt zarywaniem zewsząd i nieregularnością w wypłatach, że żydzi nawet nie chcieli mu pożyczać. Na ten raz osnuł wszakże plan, i nawet napisał bruljon listu do bardzo bogatego brata żony nieboszczki, wystawiając mu, że los rodziny od jego pomocy zawisł.... Zygmunt miał dołożyć z właściwą sobie zręcznością wystylizowane pismo do wuja.... Na tem opierała się cała kombinacja, wszystkie nadzieje. Gdyby te jednak chybiły, szambelan miał tajemny zamiar udania się do źródła bardzo wysoko położonego, przypominając oddane usługi....

Nazajutrz wyprawiono rekomendowany list do wuja... domagając się jakiejkolwiek ale stanowczej i prędkiej odpowiedzi.... Z każdą pocztą przychodzącą rosła niecierpliwość. Zygmunt był milczący.... Szambelan pakował się już w drogę do stolicy.... Nareszcie wuj odpisał, jak był zwykł, gdy go napastowano o pieniądze, co się nie po raz pierwszy trafiło.... Krótko a węzłowato oświadczył, że ten ostatni raz, chce jeszcze przyjść w pomoc ojcu i Zygmuntowi, lecz zapowiada stanowczo, że ten raz jest nieodwołalnie ostatnim i że na listy następne, gdyby miał być niemi obarczany, nawet odpowiadać nie będzie.

Ton tego pisma był obrażający, ale dołączony doń weksel na dom bankierski w Warszawie przechodził wszelkie nadzieje.... Zygmunt ledwie oczom wierzył. Skąpiec dał sześć tysięcy rubli, ażeby się raz pozbyć natrętów. Szambelan miał wielką ochotę coś z tego dla siebie urwać, ale syn stanowczo oświadczył, że nie da złamanego szeląga i że to będzie zaledwie wystarczającem, na tę wyprawę po Złote Runo.

W ten sposób złożyło się wszystko bardzo łatwo i dobrze.... Zygmunt pojechał do Warszawy, a że tam miał wielu wierzycieli, podjął sumę cichuteńko, przegrał w klubie nie więcej nad tysiąc rubli i wrócił na wieś. Nie widział się nawet z tą... nieszczęśliwą panną Adelą, która bodaj czy nie była jego pierwszą i ostatnią miłością. Dałbym całe fałszywe wyobrażenie o niej, mówiąc tylko, że była — ozdobą warszawskiego baletu. Zręczne jej nóżki niczem były w porównaniu do główki, języka, sprytu i szyku. W Paryżu panna Adela zrobiła by była fortunę kolosalną — w Warszawie omało nie wyszła za bogatego Ormjanina, a zakochawszy się w Zygmuncie, biedaczka i sobie i jemu wiele strat i kłopotów ściągnęła. Tak bowiem było — tak! jakkolwiek rzecz się zdaje nie prawdopodobną, panna Adela kochała się naprzód w Zygmuncie, potem on się w niej kochał, potem przez czas krótki kochali się oboje... a naostatek rozstać się musieli....

Pana Adela sama się zrujnowała tą miłością, kosztowała wiele Zygmunta i musiała uledz matce, która w imię rozsądku,

starości i zdrowej rachuby skłoniła ją do przejścia na stronę Armenji.

Miłość panny Adeli dla Zygmunta była niezmiernie głośną w rocznikach teatralnych— wiedzieli o niej wszyscy... cytowano ją jako rzadki kwiat wystrzelony na śmiecisku.... Zygmunt zyskał niezmiernie w oczach kobiet wielkiego świata, powzięto o nim wyobrażenie bardzo pochlebne; bo umiał rozniecić ogień, gdzie zwykle panują chłody. Winien był nawet temu kilka wielce pochlebnych stosunków w salonach i stanowisko znakomitego seduktora. Potrafił się otrząść potem zupełnie ze swej namiętności do panny Adeli — ona zaś, jak powiadają — nigdy o nim zapomnieć nie potrafiła.... Są cuda, o których się psychologom nie śniło. Wróciwszy do Wierchówka, Zygmunt nie przyznał się przed ojcem do przegranego w klubie tysiąca... wymógł wszakże na nim dodatkową sumkę, gdyż znajdował, że nigdy nadto pieniędzy w takich wypadkach mieć nie można. Z bijącem sercem, z patryjarchalnem błogosławieństwem wyprawił go ojciec z domu, zaręczając, że gdy zostanie powołany do Zabrzezia, stawić się z gwiazdą swoją i orderami nie omieszka.

Objąwszy dzierżawę pan Zygmunt, urządził się wedle pierwotnego swego planu na stopę pańską, człowieka, któremu o grosz nie trudno i który doń zbytniej nie przywiązuje wagi. Hr. Justa zastawszy, ujął go sobie jeszcze bardziej.... Do Zabrzezia się nie spieszył. Dozwolił, aby tam wprzódy dochodziły różnemi drogami wiadomości o jego dworze, koniach, domu, zajęciach... rozbudzając ciekawość.

Czuł, że okazanie zbytniej skwapliwości musiało by mu zaszkodzić. Nadzwyczaj zręcznie przygotowywał wprzódy grunt i uprawiał go pod zasiew.... Dopiero gdy godzina stanowcza wybiła — gdy pani Radczyni sama kazała mu powiedzieć, że się go spodziewa, wyruszył ekwipażem jak z igły, końmi przepysznemi, z groomem eleganckim jak laleczka. Nie brakło nic do uczynienia wrażenia, iż był człowiekiem, z francuska mówiąc, najlepszego świata.

(C. d. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

Sewera...

II.

(Ciąg dalszy.)

— *Hau du ju du!**) — zahuczał mi nagle nad uchem, znany bas kapitana wojsk Jej Królewskiej Mości.

— Jakże się cieszę kapitanie, widząc cię w mem udręczeniu, bo oto pycha moja ma być startą głodem dnia dzisiejszego, gdyż nad tem czuwa parlament, rząd i policja...

— Pewno musiała cię naumyślnie przestraszyć jedna z prezbiterjańskich czarownic, aby mieć sposobność powiedzieć jakiś niedorzeczny frazes.

— Kapitanie! jakże można szlachetną misses nazwać czarownicą, gdzież wojskowa rycerskość?

— Mamże je oszczędzać, ja, co przez nie straciłem miejsce, porzuciłem armję, za bezcen sprzedałem mój stopień...

— Co? co? prezbiterjanki stanęły na drodze twojego życia?... romans, miłość, pojedynek— domyślam się...

— Ani jeden z tych romansowych epizodów, — powiedz raczej religja, kościół, kazanie!

— Ależ nie można czegoś podobnego przypuszczać, znając twoje przekonania.

— Właśnie te przekonania... posłuchaj.

— Kapitanie, czy rzeczywiście pycha moja ma być startą?

— To znaczy, że ci się jeść chce. Są wielkie hotele koło stacji Czaring-Kross, ztąd cztery mile angielskie, w których można zjeść objad w niedzielę; do najbliższej stacji kolei mamy wprawdzie nie daleko; jednak jeszcze zawcześnie, pociągi nie idą. Od 1ej do 3ej publikhausy otwarte, aby pobożni zmęczeni modlitwą, mogli pokrzepić zwątlone siły napojem tylko; gdyż sprzedaż pokarmu surowo zakazana. Lecz mam w tych stronach znajomego, właściciela jednego z tych zakładów, byłego sierżanta z mojej kompanji; nie odmówi on nam objadu... chodźmy.

— Kwestja startej pychy, już załatwiona, mówił przez drogę kapitan, — lecz zemsta moja nie zaczęta.

— Miałżebyś doznać tak wielkiej obrazy, że jej nie możesz przebaczyć?

— Przebaczyć, zapomnieć, najcięższe słowa dla pokrzywdzonego! Wyobraź sobie, stoimy w Edynburgu i pewnej pięknej niedzieli dostaję z kolei rozkaz, abym z moją kompanją poszedł do parafialnego kościoła w obrębie koszar. Rozkaz wyraźny — o 11ej nabożeństwo — o 2ej objad. Maszerujemy, zasiadamy w porządku, śpiewamy psalmy, słuchamy nauk; — kazanie rozpoczyna się o 12ej. Żarliwy prezbiterjanin kruszy nam sumienie straszliwemi obrazami, zdaje się, że cały testament przywoła na pomoc. Prawi tak całą godzinę — słuchamy — lecz i druga mija, a zdaje się, że jesteśmy dopiero przy początku. Czas objadu już przyszedł — patrzę na zegarek — po drugiej. Postrzegł to kaznodzieja i wyciął zaraz filipikę o niecierpliwości filistyńczyków, przychodzących do kościoła z rozkazu. Oburzyła mnie ta napaść, tem więcej, że uczyniono ją z wiarą w niemożność odwetu; postanowiłem zatem czekać jeszcze pięć minut. Przeszedł i ten krótki czas, a zdawało się, żeśmy byli ciągle przy początku mowy; cierpliwość moja wyczerpała się, zresztą rozkaz — powstaję. „Baczność! rozlega się po kościele — głusząc słowa kaznodziei; — dwójkami od prawego, naprzód, marsz!“ i wyprowadziłem oddział wśród oburzenia wiernych, a podobno i straszliwego przekleństwa mynystra.

Nazajutrz całe miasto mówiło o mojem okropnem *szoking*, robiąc dodatki, które rozumie się przeszły w śmieszne dziwolągi, a nawet zamieniły się w straszliwe historje. Dzienniki presbiterjańskie napadły na władze wojskowe, kościół anglikański, podburzając ludność przeciwko nam. Cała sprawa przybrała groźne rozmiary; — dla jej przerwania i uspokojenia umysłów, wsadzono mnie, za rozkazem dziennym jenerała dywizji, na pięć dni aresztu. Prezbiterjanie i ich organa tryumfowały; a mnie koledzy pułku po wysiedzeniu kary, wyprawili bankiet, nazwany wedle stylu purytańskiego: orgją czerwonych filistyńczyków, na której mieliśmy pić zdrowie Belzebuba i jego połowicy — smołą....

Nareszcie zapomniano i o tym ważnym wypadku w dziejach kościoła, jak się o wszystkiem zapomina, a ja, po dwóch miesiącach, miałem znowu rozkaz prowadzić oddział do kościoła.

— Czy pamiętasz Peters tę niedzielę, ośm lat temu, w Edynburgu? — zawołał kapitan, wchodząc do bocznej sali publikhauzu.

— *Jess Kapten* — odpowiedział salutując, krótko ostrzyżony, z czerwonym nosem Peters.

— Co się tak garbisz do stu kartaczy? Baczność!

Peters wyprostował się jak struna.

— Ser, czterdzieści pięć lat wieku, to nie żarty.

— A jak przyjdą do Londynu Prusaki — co?

— Pogadamy kapitanie, bataljon mój, chociaż marynarzy słodkich wód (wolontarjuszów, których Peters był kapitanem) dostoi. Na dwa tysiące strzałów — 500 celnych — na ostatniej próbie!

— Odległość?

— Ośmset *yardów*.

— Winszuję, jak na rekrutów rezultat wyborny.... W kościele, pamiętasz, musieliśmy iść na bagnety z własnych pięści....

Peters stanął w pozycji atakującego boksera.

— Kapitanie, wtedy było prawdziwie gorąco — mieliśmy zaledwie 120 ludzi, a atakujących przeszło dwa tysiące....

— Słodkich wód.

— Odleżałem cztery dni.

— A ja dwanaście.

— Cały też atak wymierzono na kapitana.

— Szarfa, mundur, epolety, w drobne kawałki.

— Trzymaliśmy się dzielnie, ani jeden nie dał się wyrwać z czworoboku.

— Wszyscy żołnierze z krymskiej kampanji.

— Tak jest, ani jednego rekruta.

— Lecz czegoż my tu stoimy? Peters, baczność! za dwadzieścia minut objad dla nas dwóch, a teraz wisky*) i przekąska.

— *Jess Kapten* — zawołał Peters, wprowadzając nas do swego saloniku.

— A zatem wyprawa do kościoła skończyła się bójką? — rozciekawiony nawiązuję powtórnie rozmowę.

— I jaką jeszcze! Wyobraź sobie, ten sam mynyster już czekał, aby mnie upokorzyć i ukarać; całe kazanie wymierzone było przeciwko czerwonym filistyńczykom i miało trwać do czwartej, po południu!

— A więc?!

— O wpół do trzeciej byłem już zirytowany do ostateczności; ludzie moi zmęczeni, głodni, patrzą na mnie prosząc o litość; nareszcie brakło mi cierpliwości, zrywam się, komenderuję i wychodzę. Ksiądz ciska przekleństwa, a wściekłość prezbiterjanów wybucha wulkanem. Ledwieśmy zdołali dojść do drzwi, gdy nas powitał grad pocisków, — w przedsionku rozbito szeregi w puch i w tem to miejscu poszarpano mi mundur. — „Do mnie żołnierze z pod Inkermanu!“ — zawołałem, dostawszy się na plac. Peters stanął przy mnie pierwszy, ciężko pracując; inni torowali sobie drogę straszliwemi wysileniami. Zbici w falangę, cofamy się krok za krokiem; krzyk purytanów przywołuje nowe masy chciwe walki za wiarę; zdusili by nas i rozdeptali, gdyby nie pomoc z koszar.

— I cóż dalej?

---

*) Jak się masz. (Autor umieszcza słowa angielskie jak się wymawiają, nie zaś jak się piszą.)

*) Wódka irlandzka.

— Co dalej? musiałem się podać do dymisji, sprzedałem stopień, założyłem biznes w Londynie i nareszcie trzeba się ożenić.

— Z prezbiterjanką?

— Co?!

Pani Peters przerwała rozmowę, przynosząc objad.

Kapitan na przywitanie wyciął gospodyni parę wojskowych komplementów. Znajomość to dawna, jeszcze z pułku, gdy pani Peters była panną Fegg, — Judytą Fegg, jedynaczką właścicieli publikhauzu, obok koszar, białą z niebieskiemi oczami jasną blondynką, dzięki której, kapitan zdobywał od pani Fegg kredyt wprawdzie na wysokie procenta, zawsze jednak z gotowością mu udzielany. Pani Peters z rozrzewnieniem wspomina czasy swego panieństwa, a mianowicie chwilę, gdy zobaczyła w ową fatalną niedzielę zemdlonego kapitana, niesionego przez żołnierzy. Wtedy Judyta Fegg płakała nad kapitanem, a śmiała się, widząc sierżanta Peters, podobnego do monstrum, z rozbitą, opuchniętą twarzą i podsiniałemi oczami.

Peters obrażony szyderstwem, postanowił się zemścić, i w tym celu poślubił Judytę, a nie doznawszy losu Holofernesa, rozdaje w swoim zakładzie piwo i wisky licznym gościom, w towarzystwie żony. Judyta czasami nawet płacze, gdy się naprze nowej sukni, lub wycieczki na kuntry.*) Na widok jej łez, Peters czuje się pomszczonym i szczęśliwym; bo oto naocznie się przekonywa, że Judyta jest zdolna łzy wylewać nie tylko nad losem kapitana, ale także z żalu do Petersa, i to w sprawie, którą on jednem słowem może rozstrzygnąć i zwykle na korzyść płaczącej rozstrzyga.

Po objedzie, którego przyrządzenie jawnym było dowodem, że w sercu dawnej Judyty Fegg nie wygasła pamięć dla kapitana, przyniesiono nam kawę.

— Dziwne to jednak zjawisko, kapitanie,— zagadnąłem, — by w tak wysoko praktycznym i trzeźwym narodzie, mogła się dotąd utrzymać żarliwość religijna, posunięta do fanatyzmu.

— Przeciwnie, w mojem przekonaniu — odrzekł kapitan — handel, ryzyko, gra, zawsze chodzą w parze z potrzebą pewnego zaufania w przeznaczenie, z wiarą w fatalizm, szczęście, błogosławieństwo, zresztą jak chcesz. Sprawiedliwie porównywają Anglję do starożytnej Kartaginy; tu jak tam, handel i kramy, bogi z całego świata i kościoły. Kartagińczyk składał ofiary wszelkim bogom, aby mu pozwolili szczęśliwie odbyć podróż i dobrze oszukać, a Anglik robi także wszystko, aby nie mieć nic sobie do wyrzucenia. A żydzi, naród wyłącznie handlujący, czyż nie są tak religijni, jak żaden inny?

— Czyż religijność angielska opiera się na głębokiej wierze?

— To rzecz zupełnie inna! — O wiarę nikt tu nie pyta, jako o sprawę czysto osobistego przekonania, a zresztą jest to każdego z wiernych tajemnicą. U nas idzie tylko o formę, nad którą czuwa, jak słusznie powiedziała twoja purytanka, parlament, rząd, policja, a ja dodałbym jeszcze, biznes,**) czyli wzajemne stosunki zależności.

— W protestanckim kościele — forma?

— Nie idzie tu o rodzaj wyznania i o rodzaj formy; w niedzielę wszyscy idą do kościoła, bo iść muszą, dla tego że nie mają nic lepszego do czynienia. Policja czuwa, aby nie było ani jednego sklepu otwartego, ani jednego biura, biznesu, galerji, teatru. Cóż pozostaje, gdy wszystkie drogi zamknięte, prócz otwartych drzwi świątyń? Idą więc do kościoła; jedni ze zwyczaju, drudzy aby się pokazać, inni z powagi i dla honoru, jaki czynią Bogu, a za nimi i ci, którzy łudzą się nadzieją, że będą łaskawie dostrzeżeni przez zaszczycających Boga swemi odwiedzinami. Biznesiści z City nie spóźnią się na nabożeństwo, aby dobrze trzymano o ich prawości; handlarze, o ich rzetelności, — patronowie przychodzą, aby ich widzieli podwładni i wspólnicy, — podwładni, aby się pokazać patronom, młode dziewczęta dla kochanków i narzeczonych, kochankowie dla swych przyjaciółek. Wolter postawił świątynię z napisem „Nieznanemu Bogu;“ tego nieznanego Boga ja poznałem w Anglji; zmażę godło na budynku w Ferney, a napiszę w jego miejsce „Biznes.“

Całe społeczeństwo, związane ogniwami stosunków i zależności, tworzy łańcuch, przeciągnięty przez kościół; rzecz więc jasna, że gdy przyjdzie niedziela, łańcuch w naturalnym porządku przesuwa się przez świątynię, od pierwszego do ostatniego ogniwa. Wprawdzie są liczne wyjątki, stanowiące osobne grupy, lub jednostki zupełnie niezależne, i te stają się fermentem wywołującym opozycję, która wytwarza obojętność i bierne zachowanie się, lub organizuje śmiałych zapaśników robiących wszelkie wysilenia, byle zwalczyć religijny obskurantyzm. Stronnictwo zachowawcze, uważając religję za tarczę dla swych praw, moralnych przywilejów i bogactw, nie żałuje ze swej strony zabiegów i kosztów, na podtrzymanie i utrwalenie teraźniejszego stanu. Ztąd powstają rozliczne stowarzyszenia religijne, protegowane i opłacane przez możnych, lub wytwarzane przez zagorzalców, ludzi ambitnych, a często i chciwych zysku biznesistów. We wszystkich stosunkach ludzkich zawsze jedne i te same występują siły, których motorem są jednakowe pobudki zgodne z naturą charakteru ludzkiego; gdziekolwiek spojrzysz, przekonasz się, że każdy z działających usiłuje wystąpić nie w swojej roli: egoiści drapują się w poświęcenie, spekulanci w bezinteresowność.

— Ciekawa być musi ta reprezentacja?..

— W każdym razie zabawna — odrzekł kapitan. — Przejdziemy się po ulicach, i przekonasz się o tem naocznie.

Propozycję przyjąłem z radością. Peters na pożegnanie salutował, a pani Peters, dawna Judyta Fegg, uroczo się uśmiechnęła. Kapitan rozkazem dziennym oświadczył, że od dziś za rok stawi się w domu Petersów w charakterze ojca chrzestnego. Biada, jeżeli nie zastanie istoty, chrztu potrzebującej! Wtedy Peters osądzony, pójdzie na obwach.... Peters śmiał się serdecznie, a pani Peters zarumieniona bawiła się czarnym fartuszkiem, jak to czyniła, będąc panną Judytą Fegg, w chwili, gdy kapitan szeptał jej w uszko gorące zaklęcia....

Zaledwie uszliśmy kilkadziesiąt kroków, gdy na mało zaludnionej jeszcze ulicy, postrzegliśmy jak kometę, wysoką misses, od stóp do głowy czarno ubraną, idącą z pośpiechem. — Mijając się z nami — podała mi zadrukowane dwie ćwiartki papieru, dodając: „Niezapomnij o 6tej.“ (C. d. n.)

*) Na prowincję.

**) Interes, zajęcie...

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

ZA DNI NASZYCH,

skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Artur Grottger.

II.

Polonia jest serją drugą, złożoną z ośmiu kompozycyj i dziewiątej karty tytułowej, przedstawiającej w sposób alegoryczny Polskę ujarzmioną, którą synowie chcą oswobodzić. W pojęciu i wykonaniu tej alegorji bardzo wiele poezji i talentu wiele, ale ponieważ alegorja mająca uprzytomnić nie jedno tylko pojęcie, co jest zadaniem symbolu, lecz cały naród ze wszystkiemi jego boleściami, nadziejami, zawodami i usiłowaniami, jest rzecza nadzwyczaj trudną i niewdzięczną, gdyż rzadko kto należycie ją zrozumie, pomijam przeto tę kartę, przystępując od razu do pierwszego rysunku.

Mordy, gwałty, bezprawia, powtarzały się w Warszawie przez cały r. 1862. Starsi, zamknięci w sobie, przeciwstawili sile brutalnej opór niemy, ale pełen godności, — młodsi zaś, nie mogąc znieść tej roli biernej, postanowili, bądź co bądź, upomnieć się głośno o wydarte im prawa, i przy pierwszej sposobności rzucić się na tych, którzy od stu lat byli ich ciemięzcami. Wróg w czas to odgadł, a chcąc zniweczyć gorące zamiary, polecił podwładnym władzom, aby jednej nocy pojmały wszystkich młodych ludzi, podejrzanych o nieprzychylne dla rządu zamiary i ubrały ich w soldackie uniformy.

Miało to nastąpić w nocy z d. 22 na 23. stycznia r. 1863.

Jednych rzeczywiście pojmano i popędzono w głąb Moskwy — drudzy, w czas ostrzeżeni, bez odzieży i broni wynieśli się w lasy, aby z miljonową armją rozpocząć walkę pełną heroicznego szaleństwa, która, mimo bezprzykładnej w dziejach wytrwałości, po czternastu miesiącach miała skończyć się upadkiem fizycznie słabszego.

Na pierwszym kartonie *Polonii*, Grottger pokazał nam jedną z tych scen, których widownią był wówczas niemal każdy dom polski, mający dorosłego syna albo brata. Oto wśród głębokiej nocy wpadli żołnierze, a otworzywszy drzwi, jak można najciszej, i zbliżywszy się do łóżka, na którem spał młody człowiek, zatkali mu najpierw usta, aby nie wołał pomocy, a związawszy mu potem powrozami w tył ręce, wyprowadzili w jednej tylko koszuli. Wypadek chciał, że w chwili, gdy wychodząc drugi raz, drzwi otwierali, krzesło, stojące pod półką z książkami, upadło; nagły ten łomot zbudził siostrę młodego człowieka, śpiącą w drugim pokoju. W złowrogiem przeczuciu biegnie do izdebki brata — a widząc go już za drzwiami, w towarzystwie żołnierzy, przeczuciem kobiety odgaduje całą rzeczywistość. Chce mówić — ból i przestrach nie pozwalają; nogi pod nią się chwieją, pada więc na kolana, a chwytając za drzwi jedną ręką, wydaje jęk przeraźliwy. Słyszy to matka, wpada bez tchu ze świecą do pokoju syna, i z głosem córki miesza swój, pełen najwyższej rozpaczy.

Młodzieniec usłyszał te głosy, chciał się odwrócić i coś przemówić, ale żołnierze nie dopuścili.

Trudno o dramatyczniejszą kompozycję. Wszystko tu naturalne, nie wymuszone, a mimo to nie realne, ale jakimś dziwnie idealnym owiane urokiem; — tak znakomicie umiał artysta pogodzić przykrą rzeczywistość z wzorowemi wyma-

ganiami piękna. Drugi byłby może wprowadził żołnierzy, o twarzach dzikich, rozbestwionych, kazał się im szamotać z młodym człowiekiem, nareszcie byłby może przedstawił konwulsyjną walkę kobiet, i obudził w nas w ten sposób najwyższe oburzenie, nie będące bynajmniej zadaniem sztuki. Grottger tego nie uczynił. Przedstawiwszy nam jedną z najboleśniejszych scen, jaka w rodzinie może nastąpić, wlał tyle prawdziwego piękna w swoją kompozycję—że, mimo smutnego tematu, od rysunku tego oderwać się nie możemy. Prawdziwie wzniośle jest obmyślaną postać upadającej dziewicy. Ile tragiczności w jej układzie, ile szlachetności w ruchach, nawet w fałdach białej odzieży! Mniej potężną jest matka, choć może ona powinnaby tu panować na pierwszym planie. Nie zdaje mi się jednak, bym odbiegł od myśli kompozytora, jeżeli pozorne to zboczenie wyjaśnię w sposób następujący: przed siostrą brat nie miał tajemnicy, jak to w rodzinie najczęściej się zdarza; przed matką natomiast, jako osobą doświadczoną i surowszą, krył się ze swemi zamiarami. Siostra wiedziała, że gotuje się powstanie, i że jej brat do spisku należy; matka ani się tego domyślała. Siostra widząc go w rękach żołnierzy, przeczuła zaraz najgorsze następstwa, nawet rusztowanie; matka natomiast nie zdała sobie jeszcze sprawy z tego, co się stało, a że nie wie, dla czego się stało, więc nie przewiduje, jakie mogą być skutki uwięzienia. Oto zdaniem mojem powód, dla którego postać siostry jest nierównie tragiczniejszą, aniżeli matki.

Nie cała atoli młodzież została pojmaną i oddaną w sołdaty. Byli tacy, którzy w czas z domów się wynieśli — i ci właśnie wywołali ruch zbrojny.

Oto kuźnia, karton drugi, a w niej sześciu mężczyzn i siódma kobieta, która z niemowlęciem na rękach stojąc w głębi, ze smutkiem przypatruje się scenie, jaka się przed nią roztoczyła. Weszło trzech powstańców, w burkach, w czapeczkach z wysokiemi piórami i z pistoletami za pasem. Jeden z nich zatrzymał się w sieni, aby pozostałym na dworze wydać stosowne rozkazy. Mają drzewca, ale nie mają jeszcze grotów, aby z nich były lance. Na kowadle, leży rozżarzone żelazo; kowal chwycił je obcęgami, a w drugiej ręce trzyma młot potężny, którym uderza, że aż skry się sypią. Starszy jego pomocnik dopomaga mu w tej pracy; młodszy rozpala na kominie drugi kawał żelaza. Czas nagli, a więc robota musi iść pospiesznie. Jeden z powstańców, gołowąsy młodzieniaszek, stanął naprzeciw kowadła w pełnem świetle, a opierając się o drzewce, które na grot czeka, patrzy na żelazo, jak się pod uderzeniami ugina, z pewnem zadowoleniem, — bo młodą duszę cieszy myśl sama, że za kilka minut będzie skończonym ułanem, bo będzie miał lancę. Starszy jego towarzysz usiadł przy drzwiach, — a wlepiwszy oko w czerwone żelazo, puścił myśli gdzieś daleko, może do opuszczonego domu, w którym zostawił matkę, siostrę, kochankę, albo nawet żonę z niemowlęciem u piersi....

Kompozycja tego rysunku jest więcej malowniczą, jak psychiczną. Brak tu już osobistości panującej nad całem otoczeniem, ale bo też i treść jest tego rodzaju, że w podobnem położeniu niepodobieństwem byłoby żądać nadzwyczajnej jednostki. Kucie lanc odbywało się nie tylko u nas i nie w jednym tylko r. 1863; artyście mogło tu zależeć jedynie na pięknem ugrupowaniu i ogólnej harmonji — z czego w rzeczy samej świetnie się wywiązał. Do koła żelaza, będącego treścią tego rysunku, wszystko wiruje, wszystkie spojrzenia ku niemu biegną. Kowal sam, przejęty ważnem zadaniem, jakie ma spełnić, zda się wylanym z żelaza.

Z lancami w rękach dosiedli koni i na krwawe wyruszyli boje.

Oddziały powstańcze z różnem walczyły szczęściem. Jedne rozpędzały Moskwę, drugie ulegały przemocy, inne wreszcie nie mogąc przyjąć bitwy z silniejszym znacznie nieprzyjacielem, rozpraszały się dobrowolnie, aby po niejakim czasie na nowo się zgromadzić w umówionem miejscu.

Niedaleko wioski, którą widzimy na kartonie trzecim, przyszło do nieszczęśliwej utarczki: nasi pokonani musieli ustąpić z pola walki. Dwaj młodzi ludzie, z których jeden ranny w głowę, a drugi w piersi, spotkali w lesie jadącego wieśniaka. Poczciwy chłopek wziął ich z sobą i odwiózł do wioski najbliższej. Przed mieszkaniem okazalszem, należącem do cząstkowego szlachcica, wysiedli wszyscy. Wieśniak, powierzywszy konie opiece przechodzących, zatknął batóg za pas, aby tem łatwiej pomódz niebezpieczniej rannemu wejść do domu. Towarzysz z obwiązaną głową zatrzymał się przed progiem. W tej samej chwili arendarz, mieszkający na drugim końcu wsi, widząc zdalą nadciągające wojsko, chwycił pod pachę co miał u siebie najkosztowniejszego, a wziąwszy małego syna za rękę, wybiegł z karczmy w lekkiem odzieniu, mimo że na dworze zima, by coprędzej skryć się w bezpiecznem miejscu. Wie on dobrze, że obrońcy caratu lubią napadać i rabować, palić i mordować bezbronnych. Zbliżywszy się do dworku, o którym mowa, i widząc dwóch powstańców, zatrzymał się pełen przestrachu, a wskazując w głąb' ulicy przez wieś prowadzącej zawołał:

— Moskale!

Powstaniec ze skrwawioną głową odwrócił się, a przyłożywszy lewą rękę do czoła, aby się lepiej przypatrzeć oddalonemu miejscu, na które żyd wskazuje, i widząc w rzeczy samej nieprzyjaciół, prawą ręką podniósł strzelbę gorączkowo, gotów każdej chwili do przyjęcia nierównej walki. Córka gospodarza domu, postrzegłszy to przez okno, wybiegła na dwór, a chwyciwszy młodzieńca oburącz za ramię, usiłuje go do domu wprowadzić, aby się ukrył. Młodzian atoli nie widzi kobiety, ani próśb nie słyszy. Jak skamieniały patrzy ciągle na Moskwę, gotów na spotkanie. Moskwa już niedaleko; bo oto pierwsze chaty zaczynają się we wsi palić, kłęby czarnego dymu unoszą się nad strzechami, ptactwo ucieka krzycząc przeraźliwie; jakaś wylękniona kobieta biegnie co tchu do domu — a nawet pies, trzęsący się z zimna pod płotem, patrzy z trwogą ku miejscu, zkąd jasny płomień wybucha.

Streśćmy chwilę schwyconą przez artystę: żyd wskazuje ręką, — powstaniec patrzy z dłonią do czoła przyłożoną, — kobieta usiłuje odwieść go od szalonego zamiaru i wprowadzić do domu, — wieśniak wprowadza drugiego powstańca do sieni, — inna kobieta ucieka między chaty.

Pierwszy powstaniec jest skończonem arcydziełem; głowa jego należy do najświetniejszych kreacji, jakie wyszły z pod ołówka Artura Grottgera. Ile heroizmu w tych zapadłych policzkach i zaciśniętych ustach, — ile szalonej odwagi w tem oku wyrazistem! To nie codzienny człowiek, to nowoczesny Leonidas, mogący sam jeden stanąć naprzeciw miljonom i zawołać:

— Tu kres waszej drogi!

W scenie tej nad wszelki wyraz dramatycznej, bohaterski powstaniec panuje nad całem otoczeniem. Szkoda tylko, że kobieta jest mniej szczęśliwie obmyślaną; u Grottgera zdarza się to zresztą dość często. Z małemi wyjątkami kobiety jego są monotonne, wymuszone, prawie manierowane — a jedna z nich, jak to wkrótce zobaczymy, jest nawet odrażającą. (C. d. n.)

PAMIĘTNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz, zawezwał mnie do siebie kapitan kwatermistrzowstwa, Wolski, i dał mi do przerysowania na większą skalę mapkę marszową; musiałem kilka egzemplarzy wygotować dla generałów i dowódzców pułkowych i w ten sposób dowiedziałem się, że ruch nastąpi w stronę Kałuszyna.

Przez cały dzień 12. Maja, adjutanci Nacz. Wodza co dwie godziny prawie przyjeżdżali z rozkazami. Ostatni z nich, St. Cir, już samym zmrokiem, przybył na mocno spienionym koniu; nazajutrz przyszła znowu kolej służby na mnie. Po wieczerzy wezwał mnie Generał i rzekł: „Ayez un cheval tout prêt en main, restez devant la maison, et s'il arrive quelque chose, éveillez moi.“

O 1ej w nocy, 13go Maja, odezwały się w obozie trąby i bębny. Wszystko pod broń stawało; noc była widna; o 2 siedliśmy na konie, a przed nami defilował korpus w szyku bojowym. Wiatr się zerwał okrutny. Dla wielkiego błota uradzono, ażebyśmy maszerowali przez Kałuszyn dla zajęcia pozycji w Jędrzejowie. W Kałuszynie stał gen. Milberg i Andrychiewicz ze swoją brygadą gwardji grenadjerów i 3go pułku strzelców. Jak już cały korpus prawie znajdował się na wąskiej drodze w lesie, dzień się zaczął robić, i naraz usłyszeliśmy huk dział. Dla wiatru w lesie, nie można było zmiarkować zkąd huk pochodzi; echo bowiem, rozlegające się między drzewami, tak bałamuciło, że się wszystkim zdawało, jakoby ten huk od strony Nura dolatywał.

Droga przez las była wąska i bardzo zła; cały korpus już był w lesie; 15 pułk linjowy tworzył straż tylną. Po usłyszeniu tych bałamucących strzałów, Generał dał rozkaz, żeby cały korpus w miejscu się zatrzymał; skinął na sztab, i wszyscyśmy za nim, wielkim galopem popędzili na kraj lasu, który się nie daleko od tego miejsca znajdował. Stanąwszy za lasem, że z tamtąd widok był obszerny, zobaczyliśmy, jak z Kałuszyna cofa się nasza piechota. Moskale głębokiemi masami za nią postępują, i ogniem armatnim pędzą przed sobą, któremu tylko dwie, sześcio-funtowe armaty na Prolążach rzadko, ale skutecznie odpowiadają.

Generał obejrzał to wszystko przez lunetę i w tym momencie wydał rozkazy, adjutantom i oficerom ordynansowym, ażeby korpus cały szykiem odwrotnym wracał tą samą drogą, którą maszerowaliśmy, i przez Michałów spiesznie stanął w szyku bojowym, na polach Jędrzejowa. Mnie zaś kazał jechać pędem przez Michałów i parę innych wiosek, których nazwiska nie pamiętam na szosę, i szosą pędzić ku Kałuszynowi,

dotrzeć do Generała Milberga i dać mu rozkaz, ażeby w lesie, na wzgórzu, przed Jędrzejowem zatrzymał się, i, *coute que coute*, nie pozwolił nieprzyjacielowi debuszować na pola jędrzejowskie, póki korpus uszykowany nie stanie na swojem miejscu. Popędziłem, nie znając okolic nic a nic; minąłem las w szalonym pędzie; za lasem na piaskach widzę wieś, lecę do niej, sądząc że to Michałów. Wieś była zupełnie pusta; wszyscy mieszkańcy opuścili ją i schronili się w lasy. Przejrzałem prawie wszystkie chaty, ani żywej duszy; nakoniec w rozpaczy lecę pierwszą drogą, jaką mam przed sobą. Szczęście spotykam dziada, żebraka; zatrzymuję go, i pytam co to za wieś, i gdzie jest Michałów?- On mi na to, żem się zanadto na prawo udał, że Michałów leży na lewo; tu dyrekcję ręką mi pokazał, że mam do niego jeszcze półtory ćwierci mili, i że dalej w tym samym kierunku, dojadę do szosy. Przez czas tej spiesznej pogadanki, koń mój, doskonała stepowa szkapa, odetchnął głęboko kilka razy, a czuły na ostrogę, popędził dalej. Minąwszy Michałów, po tem niefortunnem błądzeniu, widzę że Generał, na czele korpusu, już się zbliża. Nie wstrzymując więc biegu, stymulując konia ostrogami i nahajką, lecę przez szosę do lasku, w którym słyszę zdaleka gęsty karabinowy ogień. Przelatując przez grad kul i trzaskające z łomotem gałęzie i drzewa, dotarłem do gen. Milberga, oddałem mu rozkaz Umińskiego i przy nim, w gradzie kul świszczących jak między pszczołami w pasiece, zostałem.

Milberg wysłał swego adjutanta na brzeg lasu, żeby mu zaraportował, czy już korpus nasz na pozycji stoi. Dał rozkaz, żeby półk 3ci strzelców stanął frontem do tego lasu; a z gwardją się sam został. Kilka razy nacierali Moskale i gwardja cofać się musiała; kilka razy bagnetem w tył ich odpychała. Nakoniec, kiedy zjawił się adjutant z zawiadomieniem, że korpus już się rozwija; zatrąbiły rogi do odwrotu, i po ostatniem uderzeniu na bagnety, opuścił półk ów las, i stanął po za 3im na pozycji. Ostatni atak na bagnety osadził w miejscu Moskali; ale wkrótce, parci nowo nadciągającemi kolumnami, rozstąpili się na prawo i na lewo i zrobili miejsce artylerji, która przez szosę debuszując, stanęła na pozycji dominującej nad polami Jędrzejowa i rozwinęła 4 pozycyjne baterje, to jest 48 dział w jednej linji, i zaraz rozpoczęła bardzo gęsty, mimo że nie bardzo morderczy ogień, ponieważ kule przenosiły artylerję moskiewską stojącą na wzgórzu.

Plac boju, był to kawał płaskiego pola mniej więcej 3 wiorsty kwadratowe; po prawej stronie, nie daleko szosy, wieś Jędrzejów i zabudowania gospodarskie; na przeciw frontu naszego las gęsty, ciągnący się wzdłuż po obudwóch stronach przecinającej go drogi bitej; po lewej laski, poprzecinane polami; za nami znowu pas wąski lasu.

Jak się kanonada zaczęła, której nasze 36 armat gęsto odpowiadały, piechota moskiewska parę razy usiłowała nasze lewe skrzydło atakować; ale za każdym razem bagnetami gwardji lub 3 półku, nazad do lasu odepchniętą została.

Półk Czerwonych Huzarów chciał z lewej strony nas obejść, ale szczęśliwą szarżą 4go półku ułanów, prowadzoną przez adjutanta Kalksztejna, uderzony uciekł całym pędem koni, zostawiwszy na placu kilku zabitych i kilkunastu rannych. Już więcej kawalerja się nie pokazywała. Na końcu, kiedy ta kanonada już zaczęła nudzić Umińskiego, dał mi rozkaz, ażebym poleciał do baterji konnej stojącej na prawem skrzydle, i kazał kapitanowi Lewandowskiemu, który nią dowodził, posunąć się, galopem, o 500 kroków naprzód, i strzelać dla demontowania dział nieprzyjacielskich. Kiedym się do niego już zbliżał, on, niecierpliwy dowiedzenia się rozkazu, poskoczył do mnie, na bardzo pięknej jasno-kasztanowatej klaczy; ledwie co stanął i zwrócił ją, żeby wysłuchać rozkaz, gdy nagle 12to funtowa kula zaryła się w ziemię — a potem roztrzaskując się, rozerwała konia jego na połowę. Pieszo więc odebrał rozkaz i poleciał do baterji, która, w tej chwili zaprzodkowawszy, ruszyła marsz! marsz! a stanąwszy, za drugim już strzałem, wysadziła w powietrze jaszczyk moskiewski z amunicją. Widząc, że mój rozkaz dobrze wykonany został, zwracam konia, żeby wrócić do sztabu, w tem druga kula 12to funtowa przelatując koło mnie, wzdłuż konia, zadaje mi taką kontuzję w prawą nogę, żem z konia wstecz zleciał i oszołomiła także konia, bo się z miejsca nie ruszał. Obmacawszy się więc, że nie mam nic złamanego, zerwałem się, wsiadłem znów na konia i wróciłem *ventre à terre* do sztabu. Generał zadowolony, że baterja konna już kilka dział zdemontowała, obrócił się do mnie i rzekł: „Vous avez bien fait Votre service, vous aurez la croix.“ Było już południe; Moskale ciągle strzelali, ale ogień szedł co raz rzadziej, wkrótce, od prawego, zaczęli działa po jednemu ściągać z pozycji. Dym, idący od nich na nas, taką zrobił firankę, że nie można było widzieć, co się w baterjach moskiewskich dzieje; — ściągali więc armaty, ze wszystkich baterji po jednej lub dwie, żeby nie pokazać, że się cofają — nasza zaś artylerja co raz gęstszy sypała ogień.

(C. d. n.)

BAŚŃ O „ŻYDZIE WIECZNYM TUŁACZU“.

Studjum według Helbiga.

(Ciąg dalszy.)

Pierwszym z poetów niemieckich, który uczynił Ahaswera bohaterem poematu, był Daniel Szubart. W rapsodji zatytułowanej „Der ewige Jude“ skreślił on obraz przerażający, odznaczający się jednak podniosłością myśli i silnym, prawdziwie dantejskim kolorytem. Ahaswer Szubarta, przesycony życiem, napróżno usiłuje zadać sobie śmierć, jedyną lekarkę na doczesne cierpienia: wszystkie samobójcze próby nie udają mu się — czuje wszelkie boleści konania, ale umrzeć nie może. Bóg jednak wreszcie ulitował się nad nieszczęśliwym: w górach Karmelu zsyła mu śmierć i przebaczenie. Inaczej pojął postać Ahaswera poeta Szraiber, autor balady „Żyd wieczny.“ Tragiczność Ahaswera polega u niego na tem, że człowiek ten pragnie użycia, ale nie może go nigdzie i nigdy skosztować, brak mu bowiem pierwszego warunku wszelkiej roskoszy — spokoju. Położenie to rozpaczliwe wtrąca go w obłąkanie i unikając ludzi błąka się po pustyniach samotny — mając za towarzyszów tylko rozpacz i zgryzoty. Wśród tej okropnej wędrówki spotyka na pustyni krzyż z wizerunkiem ukrzyżowanego. Jakaś niepojęta siła wstrzymuje go nagle: klęka przed krucyfiksem i wśród modlitwy przerywanej łkaniem — kończy okropny swój żywot. Poemata o Żydzie wiecznym Müllera i Lenaua, są czysto elegicznej natury: poemat tego ostatniego przedstawia nam w pięknej formie pod postacią Ahaswera właściwie osobę samego poety — jest to niejako kartka z sentymentalnej biografji Lenaua. W podobny subjektywny sposób przedstawia nam Ahaswera Chamisso. Jego „Nowy Ahasverus“ nie jest niczem innem, jak tylko niezrozumianym i niewysłuchanym kochankiem, którego ulubiona zdradziła, idąc za mąż za innego. Zdradzony kochanek porównywa siebie do Żyda wiecznego, a niewierną kochankę do zburzonej Jerozolimy. W poemacie tym znajdujemy wiele prawdziwie pięknych myśli; sentymentalne jednak pojęcie przedmiotu, czyni ten utwór słabszym w porównaniu z innemi poematami o Żydzie wiecznym. Goethe w młodym jeszcze wieku zajmował się tą legendą. W swojej autobiografji, zatytułowanej „Wahrheit und Dichtung“ opowiada, że jeszcze będąc dzieckiem czytał książkę ludową o Ahaswerze, która na nim wielkie wywarła wrażenie. Chciał on z tej legendy zrobić epopeję przedstawiającą najważniejsze momenty z historji religji i kościoła. Jako model do postaci Ahaswerusa, miał mu służyć pewien szewc drezdeński, którego poznał bawiąc w tem mieście. Do napisania jednak tej epopei nigdy się nie zabrał, natomiast zostawił fragmenty lichej humoreski o „Żydzie wiecznym“ nie przynoszące wcale zaszczytu jego potężnej muzie. Żałować należy, że Goethe nie zajął się poetycznem obrobieniem legendy o Ahaswerusie w wielkiej epopei, jak zamyślał, a o którym zamiarze kilka razy do swoich przyjaciół pisał. Ahaswerus jest co do poetyczności godnym współzawodnikiem Fausta i Prometeusza — genjusz Goethego mógł z tej legendy stworzyć arcydzieło. W papierach pozostałych po Goethem znachodzi się plan do poematu o Żydzie wiecznym, z którego nie jeden późniejszy pisarz korzystał. Pierwszym niemieckim pisarzem, który legendę o Żydzie wiecznym przedstawił w dłuższym poemacie, jest Juljusz Mozen. Napisał on epicką powieść p. t. „Ahaswer“. Główną ideą tego poematu jest przeciwstawienie cielesnej, ludzkiej natury z nadziemską myślą Chrześcijaństwa. Tę czystą abstrakcję ubiera Mozen w formę cielesną: jego Ahaswerus, jest przedewszystkiem człowiekiem. Pozwolimy sobie przytoczyć treść tego ze wszech miar oryginalnego poematu.

Ahaswer ma dwoje dzieci: Ewę i Rubena, po żonie, ktora mu niedawno umarła. Pewien bogacz, Rzymianin, bawiący podówczas w Jeruzalem, uderzony pięknością tych dzieci, pragnie je zabrać z sobą i udaje się w tym celu do Piłata, który rozkazuje Ahaswerowi, aby je oddał łaskawemu Rzymianowi. Zrozpaczony ojciec szuka rady u Jezusa. Chce uznać go za Boga, jeżeli uratuje dla niego drogie dzieci. Ale Jezus zatopiony w niebieskich myślach nie słucha skarg ojca i w boskiem zachwyceniu prorokuje upadek Jerozolimy. Ahaswer miotany gniewem i boleścią rozdziera swoją szatę, wołając do Jezusa:

— Więc tyś jest Bóg? A nie chcesz wspomódz mię? Człowiek czy Bóg — tyś naród mój oszukał! — Gdy Rzymianin przyszedł mu zabrać dzieci, już ich nie znalazł: własny ojciec je zamordował. Po tym okropnym czynie pyta się Ahaswerus sam siebie: „Czemże zasłużył sobie Izrael na tę nędzę, którą Bóg na niego spuścił? Bojaźnią bożą. Śmierć więc Nazarejczykowi, śmierć Bogu i wszystkiemu!“ Ahaswer stał się Tytanem wydającym walkę naturze i Bogu.

Właśnie gdy był w takiem wzruszeniu, przechodził koło jego domu Jezus, dźwigający

na Kalwarję drzewo krzyżowe. Ahaswer szydzi zeń i odtrąca od swego progu, na co Chrystus mu odpowiada: — Ty będziesz żył wiecznie, ale nigdy spoczynku mieć nie będziesz! W tem miejscu mógłby już poeta swoją rzecz zakończyć, nie uczynił jednak tego. Archanioł Michał pociesza Żyda wiecznego i zapowiada mu przebaczenie, jeżeli z trzech prób, które Bóg na niego zeszle, wyjdzie zwycięsko i nie popadnie napowrót w niewiarę. Za dużoby nam miejsca zajęło, gdybyśmy chcieli wszystkie te trzy próby opisywać; powiemy tylko, że były one bardzo srogie i pełne tragicznych sytuacyj i że zamiast się nawrócić, po każdej z nich Ahaswerus coraz silniej nienawidzi Boga i Chrystusa.

Poemat Mozena posiada wielkie zalety; jego Żyd wieczny jest postacią olbrzymią, a przytem bardzo sympatyczną — walczy on bowiem za ludzkość przeciw Bogu. Jak Prometeusz Aischylosa, któremu sęp wyjada wątrobę, nie chce uznać Jowisza; tak Ahaswerus Mozena trwa w swojej nienawiści przeciw Bogu do końca, żadne męczarnie, ani cielesne ani moralne nie mogą go zmusić, aby się ugiął przed Stwórcą. Poemat Mozena nie ma właściwie żadnego zakończenia; tak jak walka ludzkości przeciw istniejącym prawom prawdopodobnie nigdy go mieć nie będzie. Mimo swych niepoślednich zalet, ma praca ta jednę kardynalną wadę: jest nią spaczenie idei chrześcijańskiej. Boga chrześcijańskiego nie widzimy w poemacie Mozena, ale raczej Jehowę, lub Zeusa.

Ludwik Koehler w poemacie swoim zatytułowanym „Nowy Ahaswer“ przedstawia, tak jak poprzedzający, Żyda wiecznego jako szermierza za wolność ludzkości i odtrącony przez Ahaswera Zbawiciel w następujący sposób do niego przemawia: „Ciągle będziesz żył bez spoczynku.“

Nie pierwej umrzesz, aż promień swobody
Słonecznym blaskiem oświeci narody,
Aż wszelka ciemność — w tej szczęsnej godzinie
W mgłę się świetlaną po ziemi rozpłynie.

Często zdawało mu się, że ta szczęśliwa godzina już nadeszła, ale zawsze srogi go zawód spotykał. Rewolucja francuska upadła, powstających Greków oszukano i pobito, burszenszafty nie doprowadziły do niczego. Wszędzie widzi tyranję sumienia i woli. Zwątpienie go ogarnia — skarży się, że umrzeć nie może. Wtedy występuje Jezus i tłumaczy mu, że wolności, za którą bojuje, dopóty godnym nie będzie, dopóki nie poskromi swego własnego „ja“, swego egoizmu. „Celem twoim była śmierć, a nie ludzkość — dla tego nadaremnie walczyłeś. Wolność powinna była być dla ciebie celem, a nie środkiem. Podczas gdyś ty się łzawił nad swoim losem, ludzkość szła swoim torem, a wolności orle skrzydła wyrosły. Nie jest to snem, ani obłędem, świat będzie bez ciebie wolnym — królestwo swobody już jest bliskie.“ Tą zapowiedzią lepszej przyszłości kończy poeta swój utwór.

Notujemy pobieżnie nowelę Horna p. t. „Żyd wieczny“ i dramat Klingemanna tego samego tytułu; chociaż rolą Ahaswera w tym ostatnim jest tak piękną, że sławny aktor, Ludwik Devrient, uważał ją za najlepszą w swoim repertoarzu: obydwie bowiem te prace przedstawiają legendę o Żydzie wiecznym w ten sam sposób jak ją pojęli Goethe i Mozen. W r. 1848 wydał Teodor Oelkers romans p. t. „Księżniczka Marja z Oldenburga, albo Żyd wieczny“. Romans ten, nie wiele wart pod względem artystycznej całości, ale odznacza się oryginalnem pojęciem opisanej legendy, dla tego też nieco dłużej się przy nim zatrzymamy. Ahaswerus przeklęty przez Zbawiciela, musi ciągle poświęcać, co ma najdroższego na świecie, aby tym sposobem uzyskać ekspiację za swoją zbrodnię. Od czasu do czasu pojmuje małżonki, wychowuje dzieci, ale musi widzieć skon żon i nieszczęśliwy los swego potomstwa, aby swoją ofiarę uzupełnić! Boleje już naprzód nad losem swoich bliskich, ale musi ich mieć: prze go do tego fatalna konieczność. Ażeby położenie jego było jeszcze tem rozpaczliwsze, nadała mu karząca potęga jasnowidztwo przyszłości. Stan taki rodzi w jego duszy gorycz nie do opisania i zwątpienie. Istnieje on, według swego zdania dla tego, aby być jasnym dowodem, że miłość i przebaczenie, w które ludzie wierzą, są tylko czczym wymysłem. Mimo to jednak ożywia go czasami nadzieja, że się to jego cierpienie zakończy. „Jestem tylko do czasu potępionym — wieczność jest moją. Przyjdzie czas, w którym nastąpi koniec czasu, a wtedy rozpłynę się w powietrznej przestrzeni i odetchnę wonią niebieską. Stronnicza „łaska“ runie ze swego tronu, a jej miejsce zajmie sprawiedliwość „wraz z swoją siostrzycą — miłością.“ Oelkers stawia dziwaczną hipotezę, że ukażą się jeszcze obok Żyda wiecznego, wieczny Muzułmanin i wieczny Chrześcijanin. Oryginalną jest także myśl, że uniwersytety będą się dobijać o Żyda wiecznego, aby zajął katedrę historji, jako naoczny świadek wypadków od lat blisko dwóch tysięcy.

Poeta Zedlitz przedstawił w poemacie p. t. „Wędrówki Ahaswera,“ naszą legendę zupełnie odmiennie. Ahaswer Zedlitza umiera natychmiast po ukrzyżowaniu Jezusa i grzebią go na Golgocie. Skrzydlaty anioł budzi go z śmierci i nakazuje mu żyć, dopóki zupełne szczęście na ziemi nie zajaśnieje. Ahaswer czuwa w grobie i od czasu do czasu, skoro mu się zdaje, że upragniona chwila nadeszła, odbywa pielgrzymkę po świecie. Ale dotychczas zawsze jeszcze napróżno: źle było i źle jest. Układając się do swego grobowego łoża pyta Ahaswer Stwórcę: — Jehowo! Jak długo jeszcze mam czuwać?

Utwory Andersona i Hellera, któremi teraz z kolei zająć by się nam wypadało, są bardzo obszerne i tylko pod tym względem dla rozwoju naszej legendy ważne, że w nich Ahaswer przechodzi większą część ważniejszych epok dziejowych i zastanawia się nad niemi ze swego filozoficznego stanowiska. Pełno w nich wzniosłych myśli; sądzimy jednak, że znudzilibyśmy (od czego nas Boże uchowaj!) łaskawego czytelnika, gdybyśmy treść ich podawać zechcieli.

(D. n.)

ŻYCIE,

z

Wiktora Hugo.

O, nie lękaj się Matko! porzuć ciche smutki —
Niech twa radość jak słońce dom napełni cały;
O! nie lękaj się Matko, że ten twój malutki
Taki myślą poważny.... On jak ptaszek biały,
Co usiadłszy na skale w bezbrzeżnej przestrzeni
Widzi, jako ocean wciąż w górę i w górę
Posuwa się ku niemu z tajemniczych cieni!
Dziecko przeczuwa życie wielkie i ponure...
Więc Matko, serce tkliwe, przestań ty się trwożyć!
Patrz na swoiego syna z pogodą u czoła,
Módl się cicho tym duchem, co się umie korzyć,
Bo Anioł widzi dziecię, a dziecię Anioła.
Pójdź Matko! niech w twem oku tryumf błyszczy cały,
Pocałujmy go w czoło co jak dziw wygląda,
Patrzy na nas, nie widząc, całunku nie żąda...
Takie czoło ogromne a twój syn tak mały!
O, syn twój nie zjawisko — obetrzej łzy z powiek,
To marzyciel — tem lepiej — Matko, tyś szczęśliwa!
Zadumanie to siostra genjuszu prawdziwa.
Wnet z dziecka marzyciela jest myśliciel człowiek,
Myśl to życie — o światów podstawy potrąca,
Ona siły znamieniem i siły potrzebą,
Myśl jest ducha potęgą — ona gorejąca
Daje piekło Dantemu — Miltonowi niebo!...
On kiedyś wielkim będzie — przyszłość znakomita
Jest dzieci tajemniczych, — ty czekaj wawrzynu,
Dziecko co się o imię wszystkich rzeczy pyta
I myśli — takie dziecko, to wkrótce mąż czynu!
To mąż, co w duszy swojej sztandar prawdy trzyma,
Tej prawdy, co jak chryzmat przyrosła do czoła;
Kto wie, czy on nie weźmie prawicą olbrzyma
Mistycznego dziedzictwa Michała Anioła...
Kto wie, czy on nie pójdzie w żeglugę tej drogi,
Co wiedzie w nieskończoność przez błękity drżące,
I oko przysłonione cieniem ziemskiej trwogi
Nie uzbroi w szkło takie, co przybliża słońce.
A kiedy się ze światem jasności pobrata,
Gdy zdoła przebić ciemność, a znieść blask promieni,
Czy nie znajdzie na niebios, lub morza przestrzeni,
Jak Herszel nowej gwiazdy, lub jak Kolumb świata!
Kto wie! Może to wątłe dziecię zadumane
Będzie myśleć tak samo, gdy dorośnie chwili,
Jak myślał ten malutki, co się zwał Wirgili, —
Pójdzie przez tory mleczne, ziarnami gwiazd siane,
Może zapragnie w walce z szatanami Ziemi
Nową drogę dać sferze i piersi wytężać
I próbować i kusić — doświadczać — zwyciężać
I wzlatywać, skrzydlaty, nad usty ludzkiemi!

Wł. Ordon.

POGADANKI.

III.

Ziemia nasza, to szczególnego rodzaju kobieta. Za młodu, na wiosnę, raz przedwcześnie rozwinięta, drugi raz znowu, po dziecinnemu zabrudzona, zabłocona, prezentująca się w negliżu niemiłym dla oka. W pełni letniego rozwoju, kapryśna, niepewna, to namiętnie gorąca, to zimna i ponura. Pod jesień dopiero ustala się, piękniejе, ma wejrzenie pogodne i pełne wdzięku. Nie pojmuję, dla czego żaden jeszcze z naszych poetów nie opisał tego wiązaną mową, zwłaszcza gdy kalendarz ułatwia tu niezmiernie pracę wieszczą, bo „wrzesień“ i „jesień,“ to rymy, jakich mało. Nawet fiołki o tej porze mają ciemniejszą barwę i nierównie więcej woni, niż w kwietniu lub w maju, a i pod względem gastronomicznym zwierzyna i owoce nieskończenie poetyczniej przyozdabiają stoły, niż prozaiczna wołowina i legumimy grysikowe. Wszystko idzie jakoś lepiej, wszak i kieszeń, po żniwach, swobodniej pozwala bujać fantazji. Człowiek, wdzięczny matce swojej naturze, za jej dary, jedzie do miasteczka zapomnieć o niej, odpocząć sobie i pohulać u ciotuni-cywilizacji, która go zresztą kocha tylko tak długo, jak długo mu nie braknie macierzyńskiej monety. Jednem słowem, ziemia nasza w jesieni, to piękna i posażna wdówka, wesoła i miła w obejściu, uśmiechnięta, strojna, i warto u niej mieć stancję z wiktem. Oto ideał, panowie poeci, ideał, który polecam waszemu natchnieniu w chwili gdy wydawcy poszukują „samych wyborowych“ poezyj i — znaleźć ich nie mogą. Ozimina i jarzyna, ziemniaki, owoce, chmiel, wszystko urodziło się obficie tego roku, chybiły tylko: kukurydza i wiersze....

Nieurodzaj ten zapewne natchnął pp. Rogosza i Richtera szczęśliwą bardzo myślą. Staraniem pierwszego a nakładem drugiego rozpocznie się

z Nowym rokiem 1875 wydawnictwo dzieł Wincentego Pola. Cały czysty dochód przeznaczony jest dla rodziny zgasłego śpiewaka. Wydanie to obejmować będzie w dziesięciu tomach nietylko znane już dzieła W. Pola, ale także prace dotychczas nie drukowane. Między temi, znajduje się *Pieśń o grobie naszym*. Są także Pamiętniki, które powstały na kilka miesięcy przed śmiercią ś. p. Wincentego, jako też różne rozprawy o literaturze, o sztuce, o gospodarstwie krajowem i t. p. Tomy będą miały po 30 arkuszy druku, i pojawią się w odstępach kwartalnych. Cena bardzo niska, bo 3 złr. od tomu, podczas gdy tom dzieł Korzeniowskiego kosztował 3 złr. 60 ct. Nadto dla prenumeratorów *Tygodnia* cena będzie zniżoną na 2 złr. od tomu, i szczęśliwcy ci, zamiast „samych tylko wyborowych“ poezyj, których *Tydzień* nie obiecywał drukować, za 20 złr. otrzymają 300 arkuszy pism Wincentego Pola. Zapas ten pochodzący z lat urodzajnych, pozwoli nam czekać cierpliwie, póki młode lub stare talenta żyjące nie stworzą coś „wyborowego.“

* * *

Od wielu już lat nie pojawił się u nas żaden poemat, któryby sprawił większe wrażenie i znalazł takich czytelników, pełnych uwielbienia i zapału, jakich miewali wielcy nasi wieszcze. Niektórzy przypisują to nowemu, materjalistycznemu kierunkowi umysłów, ale niesłusznie. Wszak nie wymarło jeszcze pokolenie, które zachwycało się dziełami Mickiewicza, Krasińskiego, Pola — a z drugiej strony, nie można twierdzić, by genjalne te duchy znikły z pomiędzy nas zupełnie bezpotomnie. Pojawiają się owszem, choć rzadko, talenta znakomite i samoistne, tylko zerwała się nić, co łączyła poetów z sercem narodu. Śpiewają oni już prawie chyba sami dla siebie, tego zaś, co porusza ogół, co tkwi w jego duszy, tknąć się nie ośmielają. Byłoby to ponoś zadanie zbyt trudne. Ten sam ból, te same wspomnienia, te same nadzieje, żyją w nas dzisiaj, które mamy wyśpiewane w Dziadach, w Psalmach, w Pieśniach Janusza; ale ból jest tak zpotęgowany, wspomnienia taką owiane żałością, nadzieje tak świeżo zawiedzione, że słowo już nie jest wstanie wypowiedzieć tych uczuć. Wielka boleść bywa zawsze niemą. Dla tego też, jedynym poetą, który mógł opisać wypadki z lat 1862—1864, był Grottger — ale opisał je ołówkiem, nie słowem. Nie z innej przyczyny umysły obdarzone twórczością poetyczną, zwracają się u nas teraz ku sztukom plastycznym, i rozwój tych ostatnich, zawdzięczamy zamilknięciu poezji. Kto koniecznie chce wierszować, „niemą ma harfę i słuchaczów głuchych.“ Byłoby niezawodnie inaczej, gdyby nie to przygnębienie ogólne, i gdyby nie ta potrzeba wpatrywania się w otwarte, własne rany, która nam nie pozwala zajmować się dalszemi, powszechnię-ludzkiemi tematami i zagadnieniami. Gdyby nas te zdołały poruszać, znalazłoby się jeszcze na Parnasie polskim miejsce obok tych, co na nim królują, ale miejsce to zajęte będzie dopiero, gdy przeminą dzisiejsze, zbyt ciężkie czasy.

* * *

„But what is left the poet here?“ Co nam zostało dzisiaj, co my mamy robić? — zapytają mię chórem niepoprawni rymotwórcy. Ha, to co robił nieboszczyk, poczciwy J. J. S., gdy był współpracownikiem *Gazety Lwowskiej!* Arcyksiążę austryjacki zwiedzał w towarzystwie licznej świty wszystkie dykasterja rządowe, i zaszedł także do biura redakcji organu urzędowego, który wówczas był jedyną publikacją perjodyczną polską w Galicji, i lojalnego swojego żywota nie splamił nigdy umieszczeniem jakiego oryginalnie dla niego napisanego artykułu. Nasz J. J. S. siedział w alkierzyku i potężnie machał piórem po papierze, ażeby skrzypienie tego instrumentu zwróciło uwagę wysokiego gościa na jego talenta literackie. Udało się, arcyksiążę wszedł do alkierzyka, i kazał sobie przedstawić dzielnego skrzypiciela.

— Czem się pan trudnisz? zapytał.

— *Kaiserliche Hoheit, ich übersetze!* odparł J. J. S. rumieniąc się i drżąc ze wzruszenia i ze strachu.

— Pisujesz pan jednak zapewne i oryginalnie, rzekł arcyksiążę.

— *Nein, kaiserliche Hoheit, ich übersetze!* klął się nieborak, przerażony tem podejrzeniem.

— No, ale mógłbyś pan przecież pisać i oryginalnie, jak sądzę!

— *Nein, nein, kaiserliche Hoheit, ich übbb....ersetze!* wyjąknął zrozpaczony inkulpat i był bliskim zemdlenia. Arcyksiążę uśmiechnął się i odszedł, a J. J. S. długo jeszcze potem, ile razy drzwi się otworzyły, wpadał w śmiertelne poty, myśląc, że idą go brać do kryminału, jako poszlakowanego o pisanie oryginalnych dzieł po polsku. Nawet po latach, gdy już nabrał otuchy, wydał książkę z obrazkami dla dzieci, która po jednej stronie miała tekst niemiecki, a po drugiej, tłumaczenie polskie.

Otóż poeci nasi powinni „übersetzen.“

Mnóstwo jeszcze arcydzieł klasycznej i nowoczesnej poezji nie doczekało się dobrego przekładu polskiego. Kto z taką łatwością produkuje spore tomy wcale gładkich wierszy, jak niejeden z naszych młodych pisarzy, ten niechaj się zabierze do Wirgiliusza, do Homera, do Dantego, do Miltona, itd. i niechaj przekłada ich dzieła, a będzie nietylko pisarzem utalentowanym, ale co więcej, będzie człowiekiem pełnym zasługi.

* * *

Zdałoby się także przetłumaczyć na język ogólnie zrozumiały niektóre manifesta dyrekcji teatru lwowskiego. Dnia 22. zm. wybuchła w jej łonie jakaś rewolucja pałacowa, w skutek której usunął się ze spółki prowadzącej przedsiębiorstwo p. Stanisław Dobrzański. Nazajutrz nie było przedstawienia, i doniesiono afiszami, że teatr będzie zamknięty z powodu przygotowań do kilku „bierzących“ przedstawień. Różni, różnie to sobie tłumaczyli. Jedni sądzili, że to pomyłka druku, i że należy czytać: „bieżących,“ t. j., że będą dane przedstawienia na welocypedach. Drudzy wierzyli także w pomyłkę druku, przypuszczali jednak, że miała być mowa o przedstawieniach „mierzących“, (od słowa: mierżić) — mianowicie zaś, że należy oczekiwać najnowszego arcydzieła muzy dramatycznej francuzkiej, „Phryne,“ trzyaktowej operetki pp. de Forges i Bourdois, do której A. Boieldieu właśnie napisał muzykę. Na szczęście pokazało się, że wszystkie te przypuszczenia były mylnemi, i została jeszcze tylko wątpliwość, co znaczą „przedstawienia bierzące.“ Oczekujemy tłumaczenia.

* * *

Boieldieu

Nie nowina, że Polacy pisują z łatwością obcemi językami. P. Wołyński, rodak nasz, zamieszkały we Florencji, wydaje teraz po włosku trzytomową historję Galileusza, i jak donoszą, uzyskał wstęp do archiwum watykańskiego, w celu korzystania ze znajdujących się tam źródeł. Praca ta ważną będzie i dla nas w szczególności, z powodu związku badań i cierpień Galileusza z systemem Kopernika. Włosi cenią p. Wołyńskiego wysoko i przyjmą jego dzieło z należnem uznaniem.

Popisujemy się zresztą i na innem polu. Niedawno wyszła w Paryżu książka p. t. „Les mémoires d'une cosaque.“ Autorka jest Polką z Galicji, dobrze znaną we Lwowie. Jako artystka, ma ona prawo być nieco ekscentryczną, i korzysta z tego prawa nad Sekwaną w sposób, który zwrócił na nią uwagę powszechną. Przezwano ją tam „kozaczką“ z powodu fantastycznego stroju męzkiego, w którym się pojawia. Przyjęła ten przydomek i ukrywając się za jego przezroczystą maskę, opowiedziała w swoich „pamiętnikach,“ że urodziła się i wychowała na Ukrainie, gdzie koczowała po stepach w towarzystwie oswojonego tygrysa, chartów, itd. Obok tych przygód, o których mogę zaręczyć, że są bajecznemi, opisuje „la cosaque“ stosunki swoje z królem pianistów, Lisztem, zapewne nie bez przymieszki szczegółów, także czerpanych z wyobraźni. Otóż donoszą dzienniki paryskie, że wkrótce pojawi się książka p. t. „Souvenirs d'un pianiste, réponse aux mémoires d'une cosaque.“ Można przypuszczać, że Liszt czuł się zpowodowanym odpowiedzieć na to, co o nim napisała w swojej książce nasza Galicjanka. „Les mémoires d'une cosaque“ nie pojawiły się zresztą jeszcze we Lwowie, i znamy je tylko z recenzyj francuskich i niemieckich, które ganiły autorce, że pisze o ściśle prywatnych sprawach ludzi żyjących i powszechnie znanych, wymieniając ich po nazwisku. Jeżeli autor odpowiedzi postąpi tak samo, nie będzie mu można odmówić słuszności. Na wszelki wypadek, lepiej, że wszystkie te zwierzenia i opowiadania wzbogaciły piśmiennictwo francuskie, a nie polskie.

J. Lam.

Piśmiennictwo polskie.

RECENZJA

Dr. Karola Libelta.

(Ciąg dalszy.)

(Panteon wiedzy ludzkiej, Bronisława Trentowskiego. Tom I., nakład Żupańskiego, Poznań, r. 1874.)

„Natura jest księgą ksiąg, którą sam Bóg ułożył, a słońcem i gwiazdami oświecił, abyśmy w niej dowolnie czytali.“ (T. I. str. 198.) Nauki ztąd powstałe, rozpadają się w trzy ogromne działy, wedle tego, czy w nich treść, czy formę, czy istotę tego świata badamy i poznajemy. Dział pierwszy odnosi się albo do pierwotnej, czyli „niebieskiej“ natury, albo do „nieorganicznej,“ czyli ziemskiej budowy, albo do „organizmów,“ stanowiących żywot ziemski. Poprzedzają je nauki przedsystemowe lub „kosmogonja,“ a zakończają nauki zasystemowe, jak optyczne, akustyczne, petrograficzne i techniczne wiadomości.

Jest to w całem znaczeniu „empirja“. Autor podaje nam w niej piękny i po raz pierwszy opracowany system filozofji natury. Albowiem Filozofja Natury przez Levitoux jest z r. 1873. Jakkolwiek autor trzyma się w tej materji zasad Schellinga i Okena, buduje się przecież na własnych pojęciach, którym nie można odmówić ani logiczności, ani genjalności. Wszelako przytrafia mu się, co już i jego poprzedników spotkało, dość biegłych i obeznanych w naukach przyro-

dniczych, że sądy i wyniki ich rozumowania mijają się z prawdą późniejszych postrzeżeń, na gruntownych obserwacjach opartych. Autor niesłusznie zwolenników przyrody nazywa „tuzinkowymi badaczami“ (st. 259), którzy może nazwą jego całokształt natury nieugruntowaną hipotezą. Myli się oraz, jeżeli „analogję i indukcję,“ ma za wyniki najwyższego rzędu. Są one niemi, jeżeli ich nie obalą nieodparte rachunkiem i postrzeżeniem uzasadnione doświadczenia. W obec tych „błedną“, równie jak wnioski rozumu i umysłu. Damy tu obraz, następnie krytykę tej kosmogonji, która robi przejście od teologji do nauk przyrodzonych.

W Bogu, jako w stworzycielu wszystkiego, tkwi ze stanowiska stosunku jego do świata, „nieskończoność, wieczność i wszechobecność“ rzetelna, istna t. j. w *osobie*, czyli w jaźni jego skupiona. Te same trzy przymioty boskie przejawiają się zewnętrznie w „przestrzeń, czas i materję.“ Ale że te uzewnętrznienia nie są Bogiem, są przeto „złą“ nieskończonością, „złą“ wiecznością i „złą„ wszechobecnością, albowiem przedstawiają w świecie wszędzie pewne granice, pewną miarę, pewne ograniczenie. Przestrzeń i czas to abstrakcje, w połączeniu z sobą tworzą materję.

To pierwszy pojaw osobistego Boga, w nieosobisty świat. Jest on nie emanacją ale kreacją bożą. Przestrzeń, czas i materja, jako formy oderwane są matematycznej natury, dają się dzielić bez końca. Tak je pojmował Kant. Trentowski uważa je oraz, jako „treść i iściznę“ rzeczy. „Eter“ jest najpierwszą materją. „Taka materja z przestrzeni i czasu złożona musi być jeszcze tak ulotna, tak rzadka, jak przestrzeń i czas. To jeszcze coś duchowego, coś bardziej niebiańskiego, niż światło.“ (T. I. str. 222.)

Przestrzeń w działaniu, to siła odpychająca (repulsja), czas w działaniu, to siła przyciągająca (attrakcja). Obie w połączeniu są wirowaniem (rotacją) i stanowią siłę materji. Pierwsze dwie tworzą nieprzenikliwość i ściśliwość. Rotacja urabia kulę, i tworzy środek ciężkości, w ogóle ciężkość.

Siła jest wewnętrznością wszystkiej rzeczowości, czyli zewnętrzności. Wyłania ona ogóły powszechnego świata, w tych wyosabnia szczegóły, a nareszcie pojedynki, czyli pojedyncze ciała niebieskie. Mleczne drogi (mdławice) po niebiosach w nieskończoność rozwieszone; to ogóły zgęszczonego nieco eteru. Wirowanie „około mnóstwa środków“ ich żywotem. Powstają ztąd „słońcowiska,“ drugie zgęszczenie eteru „treść odmętowa dla przyszłych słonecznych światów“ (str. 228). Te wirują już około własnego ogniska i są „szczegółami“ tutecznego świata. Przy rotacji części eteru słoneczne skupiają się przy ognisku kuli, a części eteru ziemskie przy powierzchni. Nabrzmiewają przy równiku. Czyniąc opór obrotowi, odpadają wreszcie od słońcowiska. Są to masy planetarne. Oddzielające się od słońcowiska, jakby jego „szumowiny“ masy eterowe solarno-ziemskie, to przyszłe wirujące komety. Po takiem wyczyszczeniu się słońcowiska, ze wszystkiego co w nim było ziemskiego i kometowego, powstaje dopiero słońce i system słoneczny, złożony z oddzielonych odeń planetów i kometów. Gdy uleć eterowa komety, tak rozlotna, iż wśród rączego biegu rozlewa się w długi ogon, z czasem telluryczną skorupą się okryje, kometa zostanie ziemią. Księżyce, to oderwane od planet kawałce, krążące około swego planety. Otóż mamy ciała niebieskie, będące pojedynkami wszechstworzenia. One tylko mają swój początek i będą miały i koniec. Ale wszechświat trwa od nieskończoności do nieskończoności.

Pod względem filozoficznym możnaby tej teorji kosmogonicznej zarzucić, że wychodzi z Boga, jako stworzyciela wszechświata, jako z rzeczy danej, lub wiarą przyjętej, a nie jako z pojęcia umiejętnie ugruntowanego. Ztąd też nie widzimy cale, zkąd się w Bogu wzięły trzy naczelne jego przymioty: nieskończoność, wieczność i wszędzie obecność. Wszystkie te trzy przymioty boże są równie w przestrzeni, jak w czasie, jak w materji, i nie widzimy konieczności, aby z nieskończoności wyłoniła się przestrzeń, gdy i czas i materja z niej wyłonić się mogły; podobnie, aby z wieczności wyjawił się tylko czas, a z wszędzieobecności materja. Pod względem nauki astronomicznej, nie odbiega ta teorja Trentowskiego, od przypuszczeń Laplasa i Kanta, ale ma te same niedostatki. Jest może prawdopodobną, ale zawsze tylko *hipotezą*, w której główną rolę odgrywa fantazja i domysł. Ten ostatni się zmienia, gdy się w postępie nauk, zmieniły pojęcia naukowe. Autor musiał wychodzić z dawnej zasady, że komety są początkami planet i w planety kiedyś się zamienią; bo takie było ówczasowe widzenie samych astronomów. Nowsza teorja Schiaparellego, którą i sławny Leverrier przyjął, obaliła tę hipotezę. Komety są meteorami olbrzymiemi, a ich przeznaczeniem, nie zamienić się w planety, ale w meteory mniejsze, jak aerolity, bolidy, gwiazdy spadające. Od dwóch tysięcy lat obserwacyj astronomicznych, zdybanoby przecież gdzieś kometę, na przejściu w ciało planetarne. Neptuna odkrył Leverrier przez perturbacje wywierane na Uranusa. Ale go odkrył nie jako kometę, ale jako planetę. Ta jedna myśl Trentowskiego jest wielkiej wagi, która wyjaśnia lotność, niemal duchowość materji eterowej, będącej materją pierwotną wypełniającą świat. Czy księżyce są odłamy planetarne, z czasu, gdy się planety oderwały od słońcowisk, jest rzeczą bardzo problematyczną, albowiem księżyc w takim razie musiałby być kawalcem ziemi i rozwijać się podobnie jak ziemia. Tymczasem przekonywamy się, że księżyc nie ma atmosfery, z czego wypada, że wszystkie jego stosunki klimatyczne, a więc tak organiczne jak nieorganiczne, muszą być inne; a jak doświadczenia fotometryczne wskazały, góry jego zewnętrzne zdają się być z piaskowca, a przynajmniej z materjału, który na ten sam sposób łamie i odbija promienie światła, jak piaskowiec. Jest do pojęcia, że planeta do słońca polarnie ciążący, ale od słońca chemicznie odpychany (solarność odpycha telluryczność) wiruje w koło słońca i nań spaść nie może. Ale jeżeli księżyc i planeta są telluryczne, i razem kiedyś od słońcowiska oderwane, trudno pojąć, dla czego te dwa ciała niebieskie nawzajem się odpychają. Autor powiada: „księżyce od ziem, jako od jednakiego polarności bieguna odpychane, spaśdź na nie i połączyć się z nimi nie mogą“ (str. 237). Zdawałoby się, że tu zachodzi przeciwieństwo z tem, cośmy dopiero o grawitacji planety i słońca wyrzekli; tu księżyc i planeta „polarnie“ się odpychają, a „chemicznie“ jako dwie telluryczności, przyciągają. Że „wszechświat jest rzeszą syderalną nieskończenie mnogich różnej wartości i różnego szczebla człowieczeństw“ (str. 238) jest wniosek analogiczny, na który się każdy rozsądny pisze. Dodamy w końcu, że nie uważamy autorowi za błąd, gdy utrzymuje (str. 245) że planety krążą około słońca zawsze w „jednakiej“ oddali. Jest to w przybliżeniu o tyle jednaka oddal o ile ekliptyka będąca elipsą, bardzo jest zbliżoną do koła. W jednem z dwóch ognisk takiej elipsy stoi słońce, a promienie zeń rozchodzące się do obwodu, są w każdej chwili różne.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

(Przekład p. Lebiediewa *Nieboskiej Komedji* Z. Krasińskiego. — Przekład p. Puszkarewa *Mazepy* Słowackiego. — Zdanie *St. Pietierburgskich Wiedomostiej* o obu tych utworach. — Pozytywizm rossyjskich nihilistów.)

Piśmiennictwo rossyjskie zwróciło w ostatnich czasach baczniejszą uwagę na płody literatury polskiej, przekładając z niej wiele celniejszych utworów, zwłaszcza poetycznych, na język rossyjski, (że wspomnę tu tylko o znakomitym przekładzie *Pana Tadeusza*, dokonanym przez Berga); o innych podając obszerne sprawozdania, rozbiory, oceny i uwagi. W wydanem niedawno dziele „Poezja Sławian, izdanje Hierbela. St. Pietiersburg.“ niepośledni dział poświęcony jest ludowym pieśniom polskim, znaczniejszym poetom i pisarzom literatury polskiej, ich charakterystyce i życiorysom. Nowy dowód tego gorącego zajęcia się, jakie literatura nasza wzbudziła w rossyjskiem piśmiennictwie, mamy w dokonanych świeżo przekładach dwóch znakomitych utworów poetycznych Krasińskiego i Słowackiego. Przekład „Nieboskiej Komedji“, dokonany przez Lebiediewa, pojawił się w czerwcowym poszycie *Russ. Wiestnika*, organu p. Katkowa, głowy rossyjskich konserwatystów, wymodelowanych na angielskim wzorze. „Mazepa“ w przekładzie Puszkarewa, umieszczony został w lipcowym poszycie *Atieczestwiennych Zapisok*, literackim dodatku *Gołosa*, redagowanym przez pana p. Krajewskiego, który dawniej był zagorzałym panslawistą, od czasu zaś jak panslawizm wyszedł z mody, został założycielem stronnictwa wielko-russkich zapaleńców. Przekład p. Lebiediewa jest wyższej wartości, odznacza się wiernością i polotem, czego, niestety, nie można powiedzieć o tłumaczeniu p. Puszkarewa, grzeszącem niedbałością a gdzieniegdzie nawet trywialnością. Oba te utwory wzbudziły powszechne zajęcie i zwróciły na siebie uwagę prasy rossyjskiej.

Między innemi, *St. Pietierburgskije Wiedomosti*, organ t. z. „zapadowców“, czyli pozytywistów rossyjskich, poświęcił im w jednym ze swoich numerów obszerny rozbiór krytyczny, który już sam przez się jest zbyt ciekawym okazem, ażeby o nim choć słów kilka nie wspomnieć. Nie wartoby było silić się na wykazywanie wszystkich, tak bujnie w tym artykule rozkwitających niedorzeczności, wszystkich czynników rasowej nienawiści, nieuctwa, prawdziwie petersburgskiej arogancji, drobnej dziennikarskiej zawiści,*) jakie się złożyły na wydanie tego bogatego zbioru skomplikowanych bredni, gdyby, mówiąc z Poloniuszem, „w tych bredniach nie przebijała się pewna m e t o d a“.... „Metodą“ tą jest p o z y t y w i z m samorodny, petersburgski, objawiający się za pośrednictwem „realnego czucia“; w imieniu którego wypowiada autor wszystkie te niedorzeczności. To „realne czucie“, jak je nazywa krytyk petersburgski, jest futerałem, do którego wkłada na próbę każdy okaz myśli lub wyobraźni, jaki mu się pod rękę nawinie, i odrzuca z pogardą każdy, który ściśle do niego nie przystaje. Jak ciasnym zaś musi być ten futerał i w jak niezalecającym go stanie wychodzą z niego przymierzane okazy, o tem świadczy najdobitniej ten artykuł, który zawiera w sobie razem akt wiary i najprawowierniejszy wylew „realnego czucia“ petersburgskiego pozytywisty. Pozytywizm petersburgski, którego apostołem są *St. Pietierb. Wiedom.*, jest grubo zmysłową karykaturą pozytywizmu zachodniego. Jest to właściwie system Roussa w najpierwoleśniejszym jego stanie. Gardzi on cywilizacją zachodnią i jej zdobyczami, odrzuca średniowieczne tradycje wiary, rycerskości i piękna, radby zniszczyć

*) *St. Pietierburgskije Wiedomosti* pałają nienawiścią zasad i zawiścią chleba ku Katkowowi, redaktorowi *Russ. Wiestnika,* i gdzie mogą i jak mogą szkodzą jego wydawnictwom. *Przypisek autora.*

wszystko;—i na gruzach „wszystkiego“ wystawić świątynię „niczemu“.... Pozytywizm a nihilizm są w Rosji synonimami. Owo „czucie realne“ to zmysłowy kretynizm!... Od pozytywizmu zachodniego przejął pozytywizm petersburski tę jedną tylko właściwość, iż podobnie, jak tamten, do utworów poezji i sztuki przystosowuje banalną miarę kołtuńskiego „rozsądku“ i ekonomskiego „pożytku“, czyni to tylko w sposób bardziej płasko-zmysłowy, brutalny, odpychający. Wspomniany artykuł w *St. Pietierb. Wiedom.* może posłużyć za przykład odstraszający, skrajnością swoją tem dobitniej illustrujący twierdzenie nasze wypowiedziane w 1ym numerze *Tygodnia*: iż metoda pozytywistyczna przeniesiona z dziedziny nauk i umiejętności ścisłych na pole sztuki i poezji, musi skompromitować sama siebie i zdolną jest wytworzyć same dziwolągi....

Na wstępie artykułu powiada autor jego, jakiś p. Z., że w tym roku „poszczęściło się“ Polakom, kiedy „aż“ dwa polskie utwory przetłómaczono na rossyjski język.... Podawszy następnie pobieżnie życiorys Krasińskiego, powiada p. Z., iż tłumacz, tj. p. Lebiediew, uważa Krasińskiego za „wyraziciela polskich mrzonek“ *(miecztanij)* i że podał charakterystykę tych mrzonek „z nieporównanym talentem.“ Charakterystyka zaś ta opiewa następująco: „W dramacie tym, (Nieboskiej Komedji) uosobione są dwa pierwiastki: „entuzjazm marzycielski, owoc wyobraźni goniącej za formami przeszłości, obcy rzeczywistości, i zapał marzycielskiego również radykalizmu, który, nic nie budując, wszystko niszczy, a któremu brak życiodajnych natchnień serca“... Brzmi to nieco bombastycznie, lecz zresztą jest trafne. Recenzent podaje następnie treść 1ej części „Nieboskiej Komedji“, tj. raczej trawestuje ją, wydając najszczytniejsze myśli, najwznioślejsze alegorje na łup swemu „czuciu realnemu“, które obchodzi się z niemi z prawdziwie kanibalskiem okrucieństwem. W końcu zaś tak się wyraża o 1ej części, iż: „jest to *nieznośna, chociaż niewinna niedorzeczność*“, i że „podobne niedorzeczności płodzili poeci 2 i 3 stopnia pod wpływem Manfreda i misteryj (!) Byrona“. „W naszej np. literaturze, powiada recenzent petersburgski, był pewien poeta, nazwiskiem Timofejew, autor dramatycznych misteryj, które pod względem „nieporównanego talentu“ nie ustępują w niczem 1ej części *Nieboskiej Komedji*“.... Ten Timofejew, którego pozytywista petersburgski porównuje z Krasińskim, pisał z „nieporównanym talentem“ oratorja cerkiewne dobre dla djaków popów i pałamarów....

(D. n.)

Kronika Paryska.

Paryż, Sierpień 1874.

Obiecaną wam, miesięczną kronikę z literacko-artystycznego tu żywota, w najniewłaściwszej po temu zaczynam porze. Paryż albowiem, ta część ludności jego przynajmniej, któraby mi obfitych wzorków i obfitej dostarczyć mogła treści, rozproszona na wakacjach i szukać jej raczej wszędzie niż tutaj i szukać jej raczej w Vichy, w Biaritz, u stóp Alp i nad brzegiem morza, niż w grobem patrzącej stolicy. Skończyły się wystawy, teatra zamknięte, milczą księgarnie; wydawcy przedrukami dzieł starych, dzieł klasycznych czas zabić usiłują. Spokój wszędzie, cisza a pustki. — Jedynym przejawem umysłowego życia, dla którego niemasz zastoju, jest literatura gazeciarska, perjodyczna z dnia na dzień i z miesiąca na miesiąc; ta kwitnie ciągle i starszą, poważniejszą swą siostrzycę, coraz bardziej w kąt zapędza, trywjalne przebaczcie mi wyrażenie.

Społeczności dzisiejszej, co zaaferowana niema czasu na głębsze studja, na wyczerpywanie kwestyj a przedmiotów, potrzeba strawy, któraby w homeopatycznych łatwych do strawienia dozach, dała jej i źdźbło nauki i źdźbło artyzmu, coś z polityki, coś i ze świata a wszystko pieprznym dowcipu i anegdotek podlane sosem.

Potrzebie takiej tylko dziennik i w ogóle perjodyczne pismo odpowiedzieć może. Ztąd wzrost tych ostatnich, ztąd pył a pajęczyna na półkach bibljotecznych, ztąd w stronę listonosza, przybywającego z dziennikami, łapczywie wytężone oczy.

Trzy czwarte publiczności nic tu nie czytuje więcej i gdy, z wyjątkiem kilku nader rzadkich powodzeń, przeważna większość księgarskich publikacyj, rozprzedażą kilkuset egzemplarzy zadawalniać się musi; dzienniki jak „Figaro“, perjodyczne zbiory jak „Revue des deux mondes“ naprzykład, ledwie nie setki tysięcy liczą prenumeratorów.

Przyszłość więc tam, a nie gdzieindziej. Przeszły czasy foljałów, ba nawet i tomów w 8ce, przeszły czasy prac, które autorom ich całe niegdyś zabierały życie; dziś oświata, postęp, cywilizacja, zawierają się w tym zmiętym świstku papieru, w tych artykułach pisanych z pośpiechem, na prędce, à l'heure et à tant la ligne, jak Francuz powiada.

Dziś autor nie zamyka się jak niegdyś w sklepionej bibljotecznej izbie, nie wjada się szczurem w zapleśniałe ksiąg pargaminy, nie ślęczy dnie i noce, przy bladem świetle lampy, nad ukochanem myśli swojej dziecięciem; dziś on od niechcenia, po objedzie przy czarnej kawie, w lśniącej gazem i pozłotą kawiarni, rzuca na papier elukubracje rozgrzanej winem objadowem wyobraźni i precz z niemi... pod prasę je posyła, by się nazajutrz rano ciekawej pokazały publiczności.

Czem? wiatrem najczęściej, pustą grą wyrazów, czemś co huczy, szumi, głośno a daleko, prawu fizycznemu posłuszne, wewnętrzną próżnią donośne i rozbrzmiałe.

Wynik ztąd smutny w istocie.

Panowie ci piszący z dnia na dzień, chyżo a po motylemu, mogą mieć wziętość i powodzenie chwilowe, lecz przyszłej, zagrobowej zrzekają się sławy, kontentując się dożywotnim dochodem dzieciom, wnukom żadnego nie zostawiają kapitału. „Czas nie szanuje rzeczy, stworzonych bez jego pomocy“ (Le temps ne réspecte pas les choses faites sans lui) mówi mądre francuskie przysłowie; nie uszanuje też tych efemerycznych utworów i niejedno imię, głośne dziś i znane powszechnie, jak ów wiatr przeszumi w pustyni i dla przyszłego pokolenia jeśli nie pośmiewiskiem, to zupełną stanie się zagadką.

Nie tak się rzecz ma z tem, co nam ubiegłe legowały stulecia. Zawód pisarski był wówczas, nie rzemiosłem jak dzisiaj a pełnem cierni i poświęceń kapłaństwem raczej. Odrywał od świata, zabierał życie, przykuwał do żmudnego a niepopłatnego (zaraz) trudu. Człowiek, co rodzicielskie bole w sercu swem uczuł a w głowie; człowiek, co poznał w sobie moc a siłę wypowiedzenia braciom wielkich pięknych i pożytecznych rzeczy; człowiek ten już się innego nie imał rzemiosła, innym za wygraną dawał zajęciom, szedł gdzie go wiodło natchnienie i choć biły gromy, leciały pociski, śpiewał, kazał lub pisał z namaszczeniem, ze spokojem i z powagą, nie dla dnia dzisiejszego, nie dla płochej przemijającej wziętości, lecz w przymierzu z czasem, dla jutra, dla przyszłości, tej prawdziwej istnych wieszczów dzielnicy.

Odpowiednie ztąd też skutki.

Pięćset lat minęło od dnia śmierci Petrarki: i Florencja, jego kolebka i Awinion, gród jego, i Francja, i Włochy z rocznicy tej wielkie, narodowe wytwarzają święto.

Biją zatem dzwony, wieją chorągwie pochwalne pamięci wieszcza, rozlegają się kantaty; Akademja francuska z Paryża, Akademja „Crusca“ z Florencji honorowe wysyłają deputacje. Nigra, poseł Włoski, dwie ładne wygłasza mowy, orderowemi wstęgi ozdabia piersi felibrów (felibres, młodzi poeci, kuszący się o wskrzeszenie dawnej, szeroko słynnej prowensalskiej poezji i w tem dźwięcznem piszący narzeczu: Mistral, Aubanel i inni) Awinion, rudera, z odwiecznej budzi się drzemki, sądzi, iż znów papieżów katolickiego świata został stolicą, popękane mury jego zaledwie natłok widzów pomieścić zdolne, zdają się z wieków otrząsać pleśni. Wszędzie moc kwiatów moc świateł wszędzie. Wszystko śpiewa Hosanna! komu? Śpiewakowi Laury, śpiewakowi miłości, który niedaleko ztąd w Vaucluse, nad brzegiem przejrzystego usiadłszy ruczaju, harmonijną nastroił lirę i kilkadziesiąt zaledwie, lecz jakich!? wydzwonił sonetów.

Oto — nagroda.

Nie trzeba zgoła wielkim być prorokiem, by zgadnąć, iż dzisiejszym literackim sławkom tak Włoch jak Francji, w pięćdziesiąt lat po ich śmierci, nikt z wyjątkiem własnej ich chyba rodziny, nikt ladajakiem nawet nie ciśnie wspomnieniem. — A cóż chcecie, one wspomnienie to za życia w krągłej, brzęczącej przyjęły monecie.

I w tem różnica.

Uprzedzając preskrypcję a zadawnienie, powiedzmy słów parę o niedawno tu zmarłej, tego rodzaju znakomitości.

Jules Janin, niezmordowany fejletonista, krytyk potęga, przed miesiącem w Passy pod Paryżem doczesną zakończył pielgrzymkę.

Gdyby kto olbrzymią a bezdenną podjąwszy pracę, zechciał wszystkie, przez lat z górą czterdzieści po dziennikach roztrzęsione pisarza tego artykuły w jedną ułożyć całość, jaki lik tomów, jakie papierów otrzymałby stosy!!!

Lecz w nich? Lecz na nich?

Sporo dowcipu, tej zdawkowej monety, która „court les rues“ w Paryżu, jak powiadają Francuzi, nie brzydki czasem język, dziesięć razy tyle formy, co treści, huk frazesów, niejeden grzeszek przeciwko erudycji i bąk niejeden, jakiego by się pierwszy lepszy powstydził studencina, oto sumienny inwentarz pozostający po nim spuścizny.

I Bóg mi świadkiem, iż sądzę bezstronnie, pochlebnem raczej dla zmarłego krytyka powodowany uprzedzeniem, dużo bowiem dobrego o nim z każdej mię dobiega strony. Lecz człowieka, co żył i walczył piórem, z utworów pióra tego a nie z czyichś tam opowiadań sądzić należy. Zacną był osobistością, przykładnym mężem i obywatelem? Światłość mu za to wiekuista, mówiono o tem na jego pogrzebie. Miernym był pisarzem? Spokój więc pamięci dzieł jego. Zbyteczne aż nadto życzenie.

A! Dobra notatka! Lubił książki, Bibljoman sam, gust ten w drugich jako wielką cenię zaletę. Lubił książki i zbiór takowych nadzwyczaj, jak mówią, bogaty zapisał Instytutowi Francji, którego jako akademik był członkiem. Albo bardzo się mylę, albo tym to datkiem najtrwalszy pomnik na swej zbudował mogile. Ubiegną lata, o utworach Jules Janin'a nikt już wiedzieć nie będzie, gdy amator jaki, zwiedzając bibliotekę Instytutu i ładnemu książek dziwiąc się doborowi, z wdzięcznością, choć po cichu, zapomniane fundatora wygłosi jeszcze nazwisko.

Jakem rzekł wyżej, teatra zamknięte, z wyjątkiew Opery i dwóch, czy trzech innych jeszcze, jak Gaité, Porte St. Martin i Palais Royal; te ostatnie obrachowując na goszczących przejazdem cudzoziemców a na wypuszczonych na wakacje studentów, dają stare sztuki, więcej oczy niż umysł zabawić zdolne, widowiska jak „Pied de mouton“ „Orphée aux enfers“ i t. d.

Opera, bezprzykładnem w dziejach sztuk tutejszych zjawiskiem, pomimo skwarów letnich, postawiła na deski nowy utwor nieznanego dotąd kompozytora, pana Membrée, pod tytułem „Niewolnik“ (Esclave). Mówię wam o nim dla dwóch powodów. Raz dla tego, iż treść utworu z naszej niby to, *pańszczyźnianej* zaczerpnięta przeszłości, rzecz się dzieje na Ukrainie, tem samem już dla nas zupełnie obojętną być nie może; drugi raz dla tego, iż koleje, przez jakie utwór ten i autor jego przechodził, dobrze charakteryzują trudności z jakiemi tu każdy nowy, zaczynający pisarz czy kompozytor walczyć jest zmuszony i jakie go w początkach często, gdy brak energji, powstrzymują zawody.

Na energji tej i na cierpliwości nie zbywało autorowi „Niewolnika.“ Od lat dwudziestu już pan Membrée z tem i z innemi dziećmi talentu swego w tece, pukał do drzwi zarządu Opery jako też i zarządu drugorzędnych teatrów lirycznych w Paryżu. Zawsze i wszędzie, lub niechęć dyrektorów, trwożnych o kasy, lub inne jakieś fizyczne przeszkody odprawiały go z niczem. Pomimo ciągłych niepowodzeń, młody wówczas jeszcze kompozytor, nie tracił odwagi, pukał wciąż, prosił, lamentował wytrwale, aż nakoniec gdy mu czas szronem już posrebrzył czuprynę, u obecnego dyrektora Opery, pana Halanzier, wyrobił sobie aucję i przedstawienie. Mówią, iż odbierając list donoszący mu o pomyślnym nakoniec skutku starań i zabiegów, zemdlał biedak ze wzruszenia.

Nic dziwnego.

Powodzenie sztuki — mierne. Publiczność wprawdzie elegancka, publiczność znawców, rozproszona, ostatecznego jeszcze nie wydała sądu; nie zdaje mi się jednak, by ten zupełnie dobrze na artysty wypadł stronę.

Tym, którzyby mię zapytali, czy libretto nowej opery ma jakąś wartość literacką, czy koloryt miejscowy dobrze w niem schwycony? i t. d. tym odpo-

wiem: iż ilekroć razy Francuz jaki porwie się do kreślenia obrazów z życia czy z natury innych jak własny krajów, tak w formie poezji, jak powieści, jak nawet podróży; tylekroć razy niestworzone prawi baje, niebywałe wytwarza dziwolągi. Narodowi temu, tak zkąd inąd utalentowanemu, brak zmysłu analizy. Nie umie on wchodzić w skórę innych, że się tak wyrażę, zawsze i wszędzie sądzi po wierzchu, po swojemu. Nigdy i nigdzie siebie nie zapomina.

Może to i zaleta.

Libretto „Niewolnika" z pod tej ogólnej nie wyłamuje się zasady. Libretto zresztą w operze podrzędną tylko odgrywa rolę i zupełna nawet jego nieudolność powodzeniu muzyki wcale nie przeszkadza. Dość będzie zacytować „Trubadura" i „Flet zaczarowany."

Oto cała uboga wiązanka nowostek, jaką wam z teatralnej przynieść mogę dziedziny. O obfitsze przed listopadem a przynajmniej październikiem nie sposób. Wtedy dopiero prawdziwe dla krytyka — sprawozdawcy zaczyna się żniwo. Dotychczas nadzieje urodzajów piękne: Dumas, Meilhac i Halévy, Sardou i Augier z nowemi wystąpić obiecują utworami. Do października zatem i listopada, tymczasem — basta.

Z pola teatralnego, na pole księgarskich przechodząc plonów i tu z tym samym spotykamy się zawodem. Oprócz przedruków dzieł starych, oprócz kilku i to lichych romansów a powieści, pustki; nic przynajmniej, coby was zainteresować potrafiło.

A ładne także obietnice.

Wdowa po zmarłym przed dziesięciu laty filozofie — socjaliście, Proudhon'ie, korespondencje nieboszczyka męża i kilka niewydanych jeszcze jego utworów drukiem ogłosić zamierza, w liczbie tych ostatnich dwutomową „Historję Polski" (Histoire de Pologne). Rzecz nader ciekawa i dla wielu względów.

Proudhon, bezspornie do pierwszorzędnych epoki naszej należał pisarzy, wygłosił wiele paradoksów według jednych, według drugich śmiałych i postępowych myśli, a wygłosił je w bardzo jędrnym i pięknym języku, na to się wszystkie zgadzają strony. Dość już tego, by nadzieja czytania dziejów ojczyzny naszej z pod pióra jego wybiegłych przyjemnie nam połechtała wyobraźnię. A na tem nie koniec.

Proudhon, znanym był jako zacięty Polski i Polaków nieprzyjaciel. Za co? dla czego? to nam właśnie obiecanych „Dziejów" wyświeci lektura. W dziejach tych napisanych nie przypadkiem, sądzę, a z pewnym celem, z pewną tendencją, autor wypowie, przypuszczam, co w nas mianowicie serce jego odstręczało. Może niejedną gorzką a zasłużoną usłyszymy prawdę. Zwolennik choć przykrych, byleby zbawiennych leków, całem sercem mówię: Daj Boże! Powiadają ludzie, iż nienawiść ku Polsce Proudhon'a datuje się od nieporozumienia, jakie zaszło między nim a jednym z rodaków naszych tu zamieszkałych (nazwiskiem dla łatwych do zrozumienia powodów nie służę). Powiadają ludzie, iż Proudhon ścisłą przyjaźnią dawniej z tym rodakiem naszym związany, inaczej się i lepiej na polskie zapatrywał rzeczy i że to dopiero od czasu wymienionej kłótni, siarczyste na nas zaczął ciskać pioruny.

Zbyt to pospolita, zbyt wspólna wszystkim prawie ludziom słabostka; nic częstszego jak takie stronne z części o całości sądy.

Wzniosły umysł Proudhon'a powinienby był zapewne z pod tej ogólnej wyłamać się zasady.

Tego jednak nie zrobił, widzimy, temci gorzej — dla niego.

Bądź co bądź „Historja Polski" przez Proudhon'a napisana, we mnie jednego z pierwszych będzie miała czytelników. Co z niej wyniosę, co w niej znajdę, tem się z wami, szczerze i bez obłudy ani wątpcie, podzielę.

Pora by już skończyć może? Nie znając jeszcze „Tygodnia" ani jego rozmiarów, niewiem, boję się, by ma kronika za szeroka i za długa naznaczonych jej nie przekroczyła granic, i bardziej uwagi waszej godnym kolegom mym i współpracownikom, srogiej tem nie wyrządziła krzywdy. Pożegnać Was jednak nie mogę bez pomówienia, choć krótkiego o jednej jeszcze nieboszczce, o byłej na Batignoll'ach szkole polskiej.

Z dzienników wiem, iż lokal szkoły i grunt na którym ten był zbudowanym, miasto Paryż nabyło za 300,000 franków. Ładna sumka! Rozdrobiona, mogłaby korzystnie pomódz kształceniu się w specjalnych szkołach tutejszych jak: „Ponts et chaussées" „Ecole de l'Architecture" i t. d. kilku czy kilkunastu biednych naszych rodaków. Wiem, iż pięciu czy sześciu tych ostatnich przyjętych zostało do wymienionej szkoły architektury pana Trélat, 136. Boulevard Mont Parnasse; darmo lub też poczciwych prywatnych osób staraniem. 300,000 franków ładna sumka! Do kogo ona należy? kto nią rozporządza? na co rozporządza? komu z niej zdaje rachunek? Oto pytania, które mimowoli do ust się cisną a które stawiam na los szczęścia w nadziei, że może otrzymamy odpowiedź.

Tymczasem „Valete.!"

J. Chamiec.

Ze świata naukowego.

Podróże do nowej Gwinei z trzech lat ostatnich.

Podług najnowszych sprawozdań zestawił

L. Tatomir.

Nowa Gwinea, właściwiej Papuą albo Papuazją zwana, należy jeszcze dotąd do tych wysp wielkiego archipelagu australsko-azjatyckiego, których prawie tylko sam rąbek wybrzeżny znajdujemy oznaczony na mapach. Pomimo bowiem, że od jej odkrycia przez portugalskich marynarzy upłynęło już z górą lat trzysta, toć jednak przez cały ten długi przeciąg czasu nie zwiedził żaden Europejczyk środkowych jej obszarów i wszelkie usiłowania podróżników, aby się dostać w głąb' jej lądu, rozbijały się jużto o trudność ujęcia sobie jej dzikich mieszkańców, jużteż o wilgotny, zabijający dla cudzoziemców klimat jej bagnistych po największej części wybrzeży, które przystęp do niej bardziej utrudniają, niż najsilniejsze mury i palisady.

Z opisów rozproszonych po dziełach podróżników z różnych czasów, które Finsch w książce niemieckiej: „Nowa Gwinea i jej mieszkańcy" troskliwie zebrał i umiejętnie zestawił, wiedziano do niedawna tyle tylko o tej, około 13.000 mil kw. rozległej wyspie, że północno-zachodnią kończyną (przylądkiem Dobrej nadziei) dosięga prawie równika, a południowo-wschodnią (przylądkiem Południowym) poza 10° połud. szer. wychodzi, że wielka zatoka Geelvink rozdziela ją na dwie nierówne części, że wnętrze jej spiętrzają wysokie góry, spadające miejscami stromemi przylądkami ku wybrzeżom, że po nad temi jej górami, których stoki bujna okrywa roślinność, wznoszą się słupy dymu z kilku wulkanów, że ona obfituje we wszystkie płody, które robią Hindostan najkosztowniejszą perłą korony Wielkiej Brytanji, nakoniec że jej mieszkańcy są czarni jak murzyni gwinejscy i że ztąd właśnie nadano jej nazwę Nowej Gwinei.

Dopiero w ostatnich czasach, w których tyle podróży naukowych i odkryć, opłaconych życiem tylu ludzi i kosztem miljonowych sum, wzbogaciło tak wszechstronnie naukę geografji, została cokolwiek uchyloną i zasłona, okrywająca dotąd Nową Gwineę.

Postępy te, jakkolwiek bardzo jeszcze nieznaczne, w geografji i etnografji Nowej Gwinei, zawdzięczamy w części misjom polinezyjskim, w części zaś usiłowaniom kilku podróżników, którzy odważyli się prawie samowtór przepędzić dłuższy czas pomiędzy Papuasami i przedsiębrali wycieczki w głąb' kraju. Dotąd bowiem, pominąwszy przelotną i bardziej nominalną, niż rzeczywistą okupację zachodniej części Nowej Gwinei przez rząd holenderski w r. 1828, nie objęło tej wyspy w posiadanie żadne mocarstwo, ani nie wystąpiło z projektem jej kolonizacji. Nowa Gwinea nie jest więc dotąd niczyją własnością, a ztąd wynika, że rząd żaden nie jest szczególnie zainteresowany w popieraniu przedsiębranych w nieznane jej okolice, podróży naukowych, i też istotnie do czasów ostatnich, wyjąwszy holenderską wyprawę na statku „Etna", żadne z państw europejskich nie zajęło się wyekwipowaniem znaczniejszej, we wszystkie potrzebne do tego środki zaopatrzonej ekspedycji do Nowej Gwinei.

Pierwszym z tych niewielu podróżników, których nadzieja wzbogacenia nowemi odkryciami szczupłych dotąd bardzo wiadomości o przyrodzie i mieszkańcach tej wyspy zawiodła w ostatnich latach do Nowej Gwinei, jest Maclay. Przedsiębiorczy ten naturalista przybył tam we wrześniu r. 1871 na statku rosyjskim i wylądował z dwoma jedynie sługami w zatoce Astrolabe, na północno-wschodniem wybrzeżu wyspy. Zbudowawszy tam sobie chałupę, chociaż dręczony nieustannie febrą, która jednego ze sług jego przyprawiła o życie, i niepokojony przez krajowców, których napaści bronił się jedynie zręcznem wyzyskiwaniem na swoją korzyść ich zabobonnej ciemnoty, wytrwał on jednak 14 miesięcy na swojem stanowisku. W przeciągu tego czasu porobił znaczne zbiory botaniczne i zoologiczne, zwiedził sąsiednie góry, do 8000′ wysokie, i grupę drobnych wysepek w zatoce leżących, którą nazwał „Archipelagiem zadowolonych ludzi;" ale dalszej podróży w głąb' kraju przedsięwziąć nie mógł. W grudniu, następnego roku, zmusił go smutny stan zdrowia do korzystania z nadarzonej sposobności i do opuszczenia Nowej Gwinei na parowcu rosyjskim, który do zatoki Astrolabe był zawinął.

Kiedy Maclay jeszcze bawił na północno-wschodniem wybrzeżu Nowej Gwinei, starali się dwaj włoscy naturaliści, Beccari i d'Albertis, przybić do południowo zachodniego jej wybrzeża, u ujścia rzeki Utanata, mając zamiar dostać się łożyskiem tej rzeki w wysokie, śniegiem okryte góry, z których ona wypływa. Nie mogąc jednak z powodu przeciwnych wiatrów wykonać swojego zamiaru, zawinęli do portu Dorei, na północno-zachodniem wybrzeżu, gdzie znaleźli gościnne przyjęcie w założonej tamże przed kilku laty holenderskiej stacji misyjnej. Z portu Dorei, odbył d'Albertis w miesiącu wrześniu podróż w pobliskie góry Arfak, której krótki opis zamieszczamy tutaj w wyjątkach z jego własnego dziennika.*)

„Przybywszy do Andai, małej wioski u podnóża gór Arfak położonej, a około 10 mil angielskich od portu Dorei odległej; ugodziłem za pośrednictwem misjonarza holenderskiego i naczelnika osady, czyli jak go tutaj nazywają *korana*, sześciu krajowców, którzy mieli mi towarzyszyć do górskiej wioski Atam. Wziąłem ze sobą także jednego Malajczyka, który mi miał służyć za tłomacza, i d. 4 września 1872 r. zostawiwszy dr. Beccari w domu misji, wyruszyłem w drogę.

Po półtoragodzinnym pochodzie ocienioną drzewami równiną, stanęliśmy u podnóża stromego wzgórza i poczęliśmy się wspinać na nie ścieżką wąską i przykrą. Obarczeni ciężkiemi pakunkami przewodnicy moi postępowali w milczeniu. Dokoła otaczał nas ponury, jednostajny las. Głuchej ciszy nie rozweselały śpiewy żadnych ptasząt i tylko od czasu do czasu zalatywało z dali gło-

*) Podług dr. A. Petermanna: *Mittheilungen über wichtige neue Forschungen*. 1874. III.

śne, przeciągłe gruchanie gołębi, przerywane ochrypłym głosem ptaków drapieżnych. Przybywszy na szczyt wzgórza, szliśmy przeszło godzinę jego spłaszczonym, lesistym grzbietem, z którego spuściliśmy się następnie, również bardzo przykrą ścieżką, do rzeczki, toczącej w kamienistem łożu czystą i świeżą wodę. Podczas krótkiego spoczynku przyrządzili sobie moi ludzie, na tej wybornej wodzie, południowy posiłek z obfitej porcji sago, poczem ruszyliśmy dalej uciążliwemi drogami na piętrzące się przed nami coraz wyżej wzgórza. Po drodze widziałem kilka latawców wumbi. (*Paradisea papuana*), przelatujących z krzykiem pomiędzy gałęziami drzew, które nie rozrastały się już tutaj tak wspaniale i wysoko, jak w nizinach. Spotkałem też wiele gołębi koruńców (*Columba coronata*) i trzy z nich udało mi się ubić. Około czwartej po południu, stanęliśmy na wysokości 1500 stóp nad powierzchnią morza, którego zwierciadło widziałem ztąd połyskujące na wschodzie, w niezbyt wielkiem od nas oddaleniu. Spuściwszy się znowu cokolwiek w dół, przybyliśmy nad łożysko jakiejś wody. Było ono jednak teraz zupełnie wyschnięte i porastało krzakami, trzciną i sitowiem, a z pomiędzy tych zarośli sterczały miejscami olbrzymie złomy skał. Na przeciwnym brzegu wznosiły się wysokie góry, obrywając się gdzieniegdzie prostopadłemi prawie ścianami. (C. d. n.)

WYKOPALISKA TROJAŃSKIE,

przez

DR. E. BURZYŃSKIEGO.

(Dokończenie.)

W głębokości do 7 metrów znachodził Dr. Schliemann samą tylko kamienną broń; odtąd poczyna się już broń miedziana, narzędzia jeszcze kamienne, ale znacznie staranniej już wyrobione; w ogóle okazują się tu ślady coraz bardziej rozwiniętej sztuki i cywilizacji, a garnki i wazy coraz kształtniejsze i ozdobniej wykonane. Wydobywane przedmioty uprawniają niezmordowanego poszukiwacza do wniosku, iż dotarł nareszcie do gruntu starożytnej Troi. Już przy samem rozpoczęciu roboty, jeszcze w Kwietniu 1870 roku, odsłonięto na wschodniej części wzgórza Hissarlik kilka szczątków murów z różnych epok, a między temi jeden nader starannej konstrukcji; kopiąc w tej stronie dalej do głębokości 33 stóp, odkryto ściany różnych domostw, z cegieł na słońcu wysuszonych, między któremi szczególniej jedne, przez prawidłowe ułożenie, zwróciły baczną uwagę. Bez wielkiego namysłu, powiada Dr. Schliemann: „To niezawodnie pałac Priama!“ Wieża na 6 metrów wysoka, okolona murem, a która, wedle Schliemanna, miała jeszcze nasadę z drzewa, to wielka wieża Troi! Brama murowana podwójna, do której prowadzi wspaniała, płytami kamiennemi wyłożona ulica, to brama skeicka! Koło tej bramy więc, na tej wieży, powiada w zapale Dr. Schliemann, siedzieli Parys i Helena, wraz z siedmiu najstarszymi miasta, i przypatrywali się dolinie trojańskiej, gdzie wojska greckie i trojańskie naradzały się wspólnie nad zakończeniem wojny — pojedynkiem Parysa z Menelajem. Dr. Schliemann znalazł nawet klucze od tej bramy. Koło resztek domu, pałacem Priama przez Dr. Schliemanna zwanego, w bliskości owego muru otaczającego wieżę, zwrócił nakoniec uwagę gorliwego badacza, pracującego tamże z robotnikami, jakiś miedziany przedmiot, z którego trysnął połysk złota. Choć to nie była jeszcze pora wypoczynku, szczęśliwy poszukiwacz, chcąc skarb ten ochronić przed chciwością robotników, wcześniej ich rozpuścił, a sam z trudem niemałym, wyciął go nożem, i, z narażeniem własnego życia, bo mur groził upadkiem, przy pomocy żony, ukrywającej skarb pod szalem, wyniósł go w bezpieczne miejsce.

Pani Schliemannowa nie odstępowała nigdy męża i bez względu na porę i niebezpieczeństwa wspierała jego usiłowania. Znalezione skarby wynagrodziły dostatecznie poniesione trudy. Pierwszym postrzeżonym przedmiotem, była duża miedziana tarcza, w kształcie owalnego półmiska, we środku wypukła, $50^1/_2$ centymetrów długa; dalej miedziany kociołek z dwoma uszkami; miedziana blacha z dwoma nieruchomemi kółkami na jednym końcu a na niej srebrna waza, zdaje się, że do niej nie należąca, tylko przez ogień, jakiemu uległa Troja, przypadkiem przylutowana; miedziana waza; następnie całkiem okrągła flaszka szczerozłota, 15 centymetrów wysoka a 14 średnicy mająca, szyjka w gzygzak ozdobiona, ale ozdoba widocznie nie ukończona,—flaszka ta waży 403 gramów; szczerozłoty puhar, 226 gramów ważący, 9 centymetrów wysokości a $7^3/_7$ szerokości mający; szczerozłoty puhar w kształcie czółenka, po obu stronach z uszkami i dwoma dzióbkami do picia, jeden dziobek 7 cent. a drugi trzy cent. szeroki. Puhar ten waży 600 gramów — jest on 9 cent. wysoki, $18^1/_4$ cent. długi, tyleż szeroki, a służył do uczczenia gościa. Gospodarz pił z mniejszego dziobka a większy podawał gościowi. Prócz tego znalazł się jeszcze mały, 70 gramów ważący, złoty puhar, z przymieszką dwudziestoprocentową srebra.

Niemniej znaleziono w tym skarbie sześć, z najczystszego srebra kutych, a do brzeszczotów podobnych przedmiotów, na jednym końcu zaokrąglonych, na drugim zaś w półksiężyc wyciętych: największy ważył 190, najmniejszy 171 gramów; według Dr. Schliemanna, miały one służyć za nagrody w boju; dalej trzy duże srebrne wazy, na 15 — 20 cent. wysokie, u spodu okrągłe; srebrny puhar; dwie nader pięknie wyrobione srebrne ważki z nakrywkami i dziurkami na sznurki do zawieszania: srebrna czara, a w końcu 13 dzid miedzianych, z rurkami do zakładania na drzewca; 14 sztuk, niewidzianych dotąd wojennych narzędzi z miedzi, w kształcie berdyszów czyli toporów, po jednej stronie tępych, a po drugiej zaopatrzonych ostrzami, od 16 — 31 centymetrów długiemi: między któremi największy berdysz ważył 1365 gramów i — siedm obosiecznych puginałów.

Gdy temi przedmiotami cieszy się Dr. Schliemann, lepiej się im przypatrując, odkrywa w jednej z największych waz srebrnych, na spodzie, przepyszne klejnoty niewieście a mianowicie: dwa prześliczne djademy, naczołek, bardzo gustownie wyrobione wisiorki, 56 złotych kolców, 8.750 pierścionków, 6 naramienników, wreszcie nie małą liczbę guziczków i kostek pochodzących z innych klejnotów. Wszystkie te przedmioty są nader misternie wykonane i mogą śmiało stanąć obok wyrobów dzisiejszych. Trojankę zdobiły nie mniej piękne wyroby sztuki jubilerskiej jak nasze dzisiejsze panie. Djademy nie były do siebie podobne. Jeden z nich 51 centymetrów długi, składa się ze złotego łańcucha, z którego spadają, po obu stronach, ze złotych listków ułożone łańcuszki, przeznaczone do osłonięcia skroni. Łańcuszki te 39 centym. długie, są zakończone złotemi medalami z wyobrażeniem Minerwy; na czoło spada 74 takich samych łańcuszków krótszych od bocznych o 10 centym.; — listek ostatni wyrobiony podwójnie; drugi djadem jest o 4 centym. dłuższy, łańcuszki zwieszone są jednak znacznie krótsze.

Wisiorki są u górnej części ozdobione perełkami, zkąd spadają złote łańcuszki, a kolce zakończone w trzy do sześciu listków. Naramienniki wskazują, że osoby, które je nosiły, miały bardzo małe ręce; dziesięcioletnia dziewczynka nasza zaledwie by je włożyć mogła. Pierścionki także są małe; najmniejszy ma tylko trzy milimetry średnicy. Potwierdzają zresztą i inne badania, że kobiety w starożytności miały daleko mniejsze ręce. Taką ilość przedmiotów kosztownych, twierdzi Dr. Schliemann, mógł w owym czasie tylko panujący posiadać; musi to być zatem nieodszukany skarb Priama. „Dopełniłem więc mego zadania, tu była Troja; tu się znajduje skarb Priama!“ a na innem miejscu: „W imię boskiego Homera, chrzczę miejsca te nazwiskami Ilionu i Troi!“ — woła uszczęśliwiony badacz w uniesieniu.

Wszystkie przez Schliemanna odkryte przedmioty można podzielić na dwa działy; do pierwszego należą przedmioty greckie, do drugiego zaś przedgreckie i wszystkie pod względem archeologicznym są nieocenionej wartości. Co do tego punktu panuje między uczonymi zupełna zgoda; nie ma jej jednak pod względem topograficznym. Schliemann utrzymuje, jak już wyżej nadmieniono, że odkrył — mury Troi, dalej wieżę Ilionu, bramę skeicką, którą wprowadzono owego, z Iliady nam znanego, drewnianego konia i — skarb Priama. — Badacze starożytności jednak, jak prof. Maksymilian Müller, Bursian, Haug, i t. d. uważają całą wojnę trojańską tylko za myt, istnieniu Homera wręcz zaprzeczają, a „Iliadę“ mają za zbiór legend; — inni znowu, choć przypuszczają istnienie Homera i Trojańskiej wojny, twierdzą na podstawie Iliady, że Troja musiała być większą, jak miejsce, na którem, według Schliemanna, miała się znajdować, a które zaledwie 5000 mieszkańców pomieścić by mogło.

Tak więc przez odkrycia Schliemanna zawrzała na nowo wojna trojańska, o losach której nie omieszkamy zawiadamiać czytającej publiczności. Tu jeszcze dodamy, że zapalony archeolog nie ustaje w pracy, albowiem rozwala obecnie wielką czworoboczną wieżę w ateńskiem Akropolis, zbudowaną ze szczątków świątyń i teatrów, która zasłania w wielkiej części Propylee. Odsłaniając teraz napisy na propyleach, oddaje znowu Dr. Schliemann archeologji znakomite przysługi.

Wszystkie te prace Dr. Schliemann przedsiębrał własnym kosztem, a same wydatki, przy odkopywaniu Troi, wynosiły 200.000 franków.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Geografja Galicji przez Łucjana Tatomira, 1sza połowa, nakładem Karola Wilda, r. 1874.

Autor niniejszego dzieła, starszy nauczyciel Seminarjum męskiego we Lwowie, napisał *Geografję Galicji* dla uczniów seminarjów nauczycielskich i dla nauczycieli szkół ludowych. Jakkolwiek mamy przed sobą pierwszą dopiero połowę, mimo to już z niej można sobie wyrobić sąd o całości dzieła. P. Tatomir podzielił swoją pracę na kilkanaście rozdziałów. W pierwszych trzech mówi o położeniu, granicach, oro i hidrografji kraju; IV. jest wypełnieniem trzech poprzednich, w V. mamy podział kraju na powiaty; w VI. zatrzymuje się autor dłużej nad etnografją, zamieszczając szersze opisy wybitniejszych rodów naszego ludu; w VII. mówi o płodach, w VIII. o przemyśle, w IX o spławności rzek, w X. o handlu; a w rozdziałach następnych o administracji, kościele, oświacie itd. Autor korzystał ze wszystkich prawie dzieł, które w ostatnich latach pojawiły się o Galicji. Sam ich spis zajmuje w przedmowie całe trzy stronice. Odkładając obszerniejszą ocenę aż do wyjścia drugiej połowy; kończymy dziś zapewnieniem, że dotąd nie mieliśmy geografji Galicji, tak wyczerpującej i razem pięknie napisanej. Opisy, szczególniej naszego ludu i kraju, pod względem topo- i etnograficznym są prześliczne. Całość czyta się z prawdziwą przyjemnością. Książka taka nie jest tylko dla nauczycieli, ale dla wszystkich obywateli kraju.

Pyśma Tymka Padurry. Wydanie posmertne z awtohrafiw. *Lwiw*. Nakładom knyharni *K. Wylda;* 1874.

Jest to zupełny zbiór poezji ukraińskiego pieśniarza, przynajmniej tak zaręcza Wydawca, w którego rękach znajdowały się wszystkie bruljony i rękopisy Padurry. Dział poetyczny podzielony, wedle woli samego autora, na: Ukraiński, Dumy, Mandriwky, Burłaczky, Monhołky i Riżnosti. — Proza obejmuje tak nazwane „Obrysy“ — właściwie szkice historyczne, które urosły z pierwotnych przypisów do poezji historycznych Padurry — i właściwe przypisy. Wszędzie obok tekstu ruskiego znajduje się przekład polski. Przekład ten dosłowny, w skutek tego miejscami bardzo niefortunnie wypadł np. „U naszych ruk spasenie wnuk“ brzmi po polsku: „U naszych rąk zbawienie wnuków;“ „Ne osto Krym“, oddane odważnie po polsku wyraz w wyraz tak samo; w całości zaś wszędzie prawie koloryt oryginału zatarty dosłownością tą i brakiem rymów, a niekiedy nawet i rytmiczności. Książkę całą poprzedza obszerny życiorys poety, żywo i wyczerpująco napisany, w którym razi tylko odcień żartobliwości, z jakim często bjograf o Padurze, niektórych chwilach jego życia, dążeniach i pracach się odzywa.

Te wszystkie usterki jednak, ująć nic nie zdołały samym utworom Padurry, oddychającym dziką i melancholijną poezją stepu, przenikniętym na wskroś miłością dla wspólnej matki Polski, a nienawiścią do Moskwy, napisanych w dźwięcznem i czystem ukraińskiem narze-

czu i które, dla tych właśnie przymiotów, na uwagę wykształconej publiczności zasługują, a rozpowszechnione pomiędzy ludem, nieocenione przysługi oddać by mogły.

— Wspomnienia ułana z r. 1863, zebrał Z. L. Sulima, Poznań, r. 1874.

Jest to pierwsza część obszerniejszego dzieła, które autor poświęcił ostatnim wypadkom. Na wstępie mówi on o działalności Wielopolskiego, uważając go za człowieka niepospolitego, który na drodze powolnego rozwoju chciał Polskę zbawić. Z drugiej atoli strony, zarzuca mu, że nagłą branką przedwcześnie wywołał ruch zbrojny i w ten sposób naród zgubił. Pierwszą część doprowadził autor do czerwca r. 1873. Z niecierpliwością oczekujemy pojawienia się końca tej pracy, która bogata w ciekawe i sumiennie zebrane szczegóły, jak nie mniej napisana językiem potoczystym, może być cennym przyczynkiem do historji lat ostatnich.

— Obrazki litewskie, ze wspomnień tułacza Sobarri, Poznań r. 1874.

I ta książka zawiera ciekawe szczegóły, odnoszące się szczególnie do życia uniwersyteckiej młodzieży i jej profesorów na Litwie, między rokiem 1830 a 1840. Samemu Konarskiemu autor poświęcił obszerny rozdział.

Układ społeczny i jego prawa, przez Quételeta Adolfa, z francuskiego przełożyli, z upoważnienia autora, słuchacze prawa. Warszawa, 1874. Nakład księgarni Celsa Lewickiego i S—lki.

Quételet Lambert, Adolf, Jakób, najznakomitszy uczony belgijski, z zawodu astronom, głośny z prac statystycznych, w których widać ciągłą dążność do wykrycia praw, rządzących zjawiskami moralnemi i fizycznemi życia indywidualnego i społecznego, zyskał szczególnie wydaniem dzieła *Physique Sociale* i *Lettres sur la théorie des probabilités appliquées aux sciences morales et politiques* sławę europejską. Tłumacze chcieli pierwej dzieło *Physique Sociale* przyswoić literaturze naszej; czekali jednak na drugie wydanie, które Quételet miał w r. 1874 uskutecznić, ale w ciągu tej pracy już w lutym b. r. śmierć go zaskoczyła. Dla niepospolitego talentu w kombinowaniu, jakoteż jasnego wykładu i wyników, jakie autor z danych statystycznych wyprowadza, polecamy to tłumaczenie interesującym się naukami społecznemi.

— Les Elzevirs de la Bibliothéque de l'Université Impérial de Varsovie. Par Stanislas Joseph Siennicki. Ouvrage enrichi de 23 planches. Varsovie, Imprimérie du Journal „Wiek". 1874.

W latach 1862—1864 wydał zarząd biblioteki cesarskiej w Petersburgu katalog druków elzewirskich w tejże bibliotece się znajdujących. Za tym wzorem podaje nam P. Siennicki spis wszystkich druków typografji elzewirskich, jakie posiada bibljoteka uniwersytetu Warszawskiego. Do tego katalogu dołączony jest widok gmachu bibljoteki uniwersyteckiej.

— Wychowanie publiczne w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej przez M. C. Hippeau. Przełożył Stanisław Belza. Warszawa r. 1874. Nakładem księgarni Ungra i Banarskiego.

Z dzieła tego można powziąć dokładną wiadomość o stanie wychowania publicznego i urządzeniu szkół publicznych, uniwersytetów i szkół specjalnych w Stanach Zjednoczonych.

— „Powrót do gniazda," powieść z podań XVI. wieku, przez J. I. Kraszewskiego, nakładem Gebethnera i Wolfa, Warszawa r. 1874.

Niniejsza powieść należy do najlepszych jakie w ostatnich czasach wyszły z pod pióra Nestora naszego piśmiennictwa.

— „Nad Spreą". Obrazki współczesne przez Bolesławitę. Poznań, nakładem E. Calliera, r. 1874.

— Dzieła Kaczkowskiego Zygmunta przejrzane i poprawione przez autora. Tom V. Warszawa 1874. Nakładem Ungra.

Zawiera: Grób Nieczui (dokończenie), Stach z Kępy, Bajronista.

— Próba ognia, komedja współczesna w V. aktach Bronisława Komorowskiego, nakład Księgarni Polskiej, Lwów r. 1874.

— Wieczorne Pieśni, napisał Witosław Halek; przekład z czeskiego Wł. Bełzy; nakład Księgarni Polskiej, Lwów r. 1871.

Przekład jest tak piękny, że gdyby nie tytuł dziełka, czytający mógłby wziąć poezje za oryginalne p. Bełzy.

— „Zarnica," powieść bułgarska, spółczesna, przez Teodora Tom. Jeża. Warszawa. 1874. Nakładem Glücksberga.

— „Helena". Powieść Turgeniewa; przekład Aleksandry Callier. Poznań, r. 1874.

— Historja powszechna konia; przez Marjana hr. Czapskiego Tom II.

— Asfalt i Bitumy i zastosowanie ich w technice przez Józefa Spornego. Warszawa. 1874. Nakładem autora.

— Słownik do Homera Iliady i przepisywanej mu Batrachomachii ułożył Łazarewicz. Poznań. 1874. Nakładem Merzbacha.

— Niewydane poezje Morsztyna Andrzeja. Objaśnił wstępem i uwagami Wł. Seredyński. Kraków.

— Czarna, Czerwona. Komedja w jednym akcie oryginalnie napisana przez Mordendo Sanat. Warszawa. 1874.

Niemiecka i angielska.

— Ross und Reiter in Leben und Sprache, Glauben und Geschichte der Deutschen; eine kulturhistorische Monographie von Jähns. Leipzig. 1874.

Monografja podobnej treści, jak w bibliografji polskiej wspomniana Historja powsz. konia przez hr. M. Czapskiego; znaleźć w niej można także wiele wiadomości z mitologji i historji; traktuje jednak, jak już z tytułu widać, tylko o koniu niemieckim.

— Die Lehre von den Ideen von Heyder. Frankfurt a. M. 1874. I.

W tym tomie podaje nam autor krytyczny rozbiór teorji ideji od Kanta aż do Fechnera; dalej rozbiór teorji materjalistycznej z zupełną bezstronnością.

— Slavisches Familienrecht von Turner. Inaugural-Dissertation zur Erlangung der jurist. Doctorwürde an der Univ. Strassburg. Strassburg. 1874, Trübner.

W tej dysertacji zestawione są systematycznie, na wzór Heinecjusza i Engaua, prawa familijne polskie, litewskie, rossyjskie, czeskie i innych Słowian.

— Haushofer, Dr. Max. Grundzüge des Eisenbahnwesens in seinen ökonomischen, politischen und rechtlichen Beziehungen. Stuttgart, 1874. Maier.

— Schmidt Louis. Die Verwaltung der Eisenbahnen und die Buchführung im Eisenbahnbetrieb volständig dargestellt. Stuttgart, Maier, 1874.

— Freytag Gust. Soll und Haben. Roman in sechs Büchern. 20. Aufl. 2 Bnd. 8. (564 i 405 str.) Leipzig. 1874. Hirzel.

— Auf dem Ocean des Lebens. Brock, Roman. 1—3 Bnd. Berlin. 1874. Janke.

— Zoological Mythology of the Legends of Animals by Angelo de Gubernatis, in 2 vol. London. Trubner et Co.

Dzieło to uczonego profesora z Florencji zostało także na język niemiecki przełożone.

— The Archeologie of Rome by John Henry Parker. Oxford and London, 1874. 2 t. in 8.

Nader cenna archeologja Rzymu, pomnożona własnemi poszukiwaniami Parkera. I tak spotykamy się tutaj z nieznaną dotąd Porta Capenna, gdzie za Nerona koncentrowało się prześladowanie Chrześcijan i gdzie ponieśli śmierć męczeńską Śty Piotr i Paweł. Odsłonił także mur najdawniejszej części miasta i fundamenta pałaców cesarskich.

— Tolhausen Alex. technological dictionary in the english, german. a french languages, containing about, 76.000 technical terms a. locutions employed in arts, trades. a. industrie in general. Revised by Louis Tolhausen. 2. part. English-german.-french. 16. (XIV. 847.) Leipzig. 1874. Tauchnitz.

Wszystkie powyższe dzieła można otrzymać w księgarni F. H. Richtera we Lwowie.

Wiadomości ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Grono obywateli miasta Lwowa, powzięło myśl zakupienia obrazu J. Matejki, przedstawiającego *Unję Lubelską*, na rzecz kraju. W tym celu odbędzie się dziś w sali ratuszowej zgromadzenie, na którem będzie wybrany komitet, mający zająć się urzeczywistnieniem tej myśli. Zdaniem naszem, kiedy ta myśl została już podjętą, wypada ją rozszerzyć. Nie „jeden" obraz powinniśmy kupić, ale zawiązać Towarzystwo, które by sobie wzięło za zadanie zakupywać wszystkie arcydzieła sztuki polskiej na rzecz kraju. Takie Towarzystwo przeszkodzi, że sztuka nasza nie stanie się kosmopolityczną i tem odda największą usługę krajowi. Myśl teraz rzuconą wyłuszczymy obszerniej i postaramy się udowodnić, że nie jest trudną do urzeczywistnienia.

— Między papierami zmarłego niedawno O. Theinera, znajduje się kontrakt, zawarty z pewną drukarnią w Zagrzebiu, która podejmowała się wydać ostatnie dzieło nieboszczyka w 12 tomach. Całe dzieło ma być przepełnione szczegółami z ostatniego Soboru, i ciekawemi dokumentami z watykańskiego archiwum tajnego.

— René Ménard wydaje obecnie w Paryżu wyczerpującą historję sztuki, pt. „Histoire des beaux-arts, architecture, sculpture, peinture, céramique, depuis les temps les plus reculés jusqu' à nos jours." W tekście będzie przeszło 400 ilustracyj. Dzieło to wychodzi przy czynnej pomocy francuskiego ministra oświecenia.

— Nieobojętną będzie zapewne rzeczą dla szachistów i śledzących za genjuszami tej sztuki wiadomość o śmierci jednego z najsławniejszych graczy, reprezentanta Anglji na wszystkich tak zwanych międzynarodowych turniejach szachowych — Stauntona. Umarł on obecnie w Londynie, gdzie się i urodził. Studja skończył w Oksfordzie. Z początku odznaczył się pracami nad Szekspirem, w którym sprostował mnóstwo ustępów sfałszowanych. Następnie napisał cenne nawet dzieło o uniwersytetach Anglji, ale reputacja jego jako szachisty, wnet zaćmiła publicystyczne zasługi. Został dyrektorem działu szachowego w „Illustrated London News" od samego zawiązku tego dziennika — a pokonawszy również sławnego gracza, Saint Amand'a, nabył rozgłosu w Europie całej. Literatura szachowa zawdzięcza mu trzy dzieła a mianowicie: „Podręcznik szachisty", „Praktyka szachowa" i „Szachowe turnieje."

— Zawód pisarza zdaje się należeć do najkorzystniejszych w Ameryce, jeżeli można wierzyć nowinie, która nas dochodzi z poza Atlantyku. Pewien wydawca ofiarował Jerzemu Eliotowi, autorowi obecnie bardzo poszukiwanemu przez publiczność, 250.000 fr. za prawo ogłoszenia drukiem ostatniej jego pracy.

— U Hachetta w Paryżu wyszedł właśnie przekład nowelli Sacher Masocha p. t. „Le legs de Cain, Contes galiciens." Zawiera on w sobie tylko te pięć nowelli, które już poprzednio „Revue des deux mondes" ogłosiło. Jest to pierwsza część tego dzikiego utworu. Druga bowiem wyjść ma dopiero w języku niemieckim w październiku u Günthera w Lipsku, pod tytułem: „Własność."

— W Akademji sztuk pięknych w Monachjum, teraźniejszy jej dyrektor, Karol Piloti, wystawił nowy swój obraz, na którym widzimy Karola VIII. z Anglji, jak żonę swoją, Annę Boleyn, każe wrzucić do Towru. Artysta wybrał chwilę, gdy król, znudzony żoną, pod pozorem, jakoby ona z bratem swym karygodny utrzymywała stosunek, stanowczo jej oświadcza, że musi udać się do więzienia, ponieważ postanowił wytoczyć jej proces. Pod względem psychicznym kompozycja nie jest tak piękną, jak np. „Seni nad zwłokami Wallensteina" — ale za to techniką i kolorytem przewyższa wszystkie dotychczasowe utwory Pilotego.

— Kajeńczycy zamierzają wystawić pomnik jednemu ze sławnych współobywateli swoich, Auberowi. Miejscowe Towarzystwo sztuk pięknych ogłosiło subskrypcję i na czele listy samo się na 1000 fr. zapisało.

— Na Islandji zamierzają islandzkiemu poecie i zbieraczowi podań, Snorre Sturleson, posąg z napisem wystawić.

— Z wiedeńskiego Stadttheatru została na przyszłość wykluczona poważna tragedja, a miejsce jej zajmie sztuka dla szerszych kół więcej przystępna. Dotychczasowy kierownik tego teatru, Dr. Henryk Laube podał się wskutek tego do dymisji, a miejsce jego zajął tymczasowo T. Lobe.

— W londyńskim teatrze Alhambra, przedstawiono d. 7. września rb. pierwszy raz nową operę komiczną pt. „Żona upiora." Muzyka, której twórcą jest G. Jacoby, ma być wcale melodyjną.

— Na scenie paryskiego teatru *Chateau d'eau*, pojawiła się opera Debillemonta, pt. *Le treizième coup de minuit.* Rzecz odbywa się w Siedmiogrodzie.

Podróże, odkrycia, wynalazki i komunikacje.

— Na posiedzeniu towarzystwa jeograficznego w Hamburgu d. 24. września, przyjęto z uniesieniem przywódzców austr. wyprawy podbiegunowej. Weyprecht wyłuszczył pokrótce dzieje wyprawy. Payer miał wykład o uskutecznionych wycieczkach saniami. Lądy odkryte mają konfigurację płaszczyzn wyżynowych ze skałami stromo jak słupy się wznoszącemi. Jeden lodowiec 15milowej długości nazwano lodowcem Dove'go. D. 11. kwietnia wycieczka lądowa w swym pochodzie została wstrzymaną dwiema górami bazaltowemi. Tegoż dnia dotarto do 81° 57' szerokości, i zaniechano dalszego pochodu. Można było dosięgnąć 82° 5 minut, i widziano jeszcze ląd stały na odległość 83 stopnia. Podróżni przyszli do tego przekonania, że tą drogą nie dosięgną bieguna północnego, i że teorja o istnieniu otwartego morza przybiegunowego jest mylną. Nowo odkryte lądy zdają się odcinać (?) wszelką możność dójścia do bieguna.

— Niemieckie towarzystwo afrykańskie przygotowuje obecnie drugą wyprawę w głąb' Afryki. Kierownikiem ekspedycji będzie Aleksander Hormayer. Przedewszystkiem będzie on się starał dostać do państwa Moatta Jamba, w którem dotąd nie był jeszcze żaden Europejczyk.

— Komisja astronomiczna francuska złożona z pp. Mouchez, Turquet, Rochefort, Casin, Velain i Delisle wybrała się dla obserwowania przejścia planety Venus na wyspę świętego Pawła, położoną na samym środku Oceanu antarktycznego, a na pół drogi linii idealnej, przeciągniętej od przylądka Dobrej Nadziei — ku południowi Australji.

— W Woolwich, na głównem podwórzu tamtejszego pięknego arsenału, odbyto próbę żeglugi powietrznej wielkim balonem nazwanym Miasto New-Jork, a zawierającym w sobie 2000 metrów sześciennych gazu. Kierujący jednak doświadczeniem p. Bowdler, pomimo dosyć szczęśliwych rezultatów w kierowaniu, wywołanych użyciem aparatu śrubowego, nie rozwiązał jednak problematu powietrznej żeglugi; co zresztą jak się zdaje, przy dzisiaj posiadanych przez nas środkach mechanicznych, jest niemożebną prawie rzeczą.

— „Nie ma już Pirenejów!“ powiedział Ludwik XIV, a wkrótce i Alpy, jeżeli nie zrównane z ziemią, to przynajmniej na wskróś przebite zostaną. Prześwidrowano bowiem Mont Cenis, kopią tunel pod Saint Gotardem, projektują przeprowadzenie innego pod Simplon'em, nareszcie obecnie pewien inżynier przedstawił Towarzystwu Przemysłowemu w Mulhouse plan przebicia olbrzyma Alp, Mont-Blanc. Tunel jego poczynający się od Chamounix wzniesionego na 1150 metrów nad poziomem morza, dochodziłby do Entrerès, którego wyżyna wynosi 1400 metr. n. p. m.

— Dr. H. Schliemann, znany z wykopalisk trojańskich, odkrył w Skripu, dawniej Orchomenos, w pobliżu klasztoru Św. Marji, skarbiec króla Myniasa, który panował na długie lata przed Homerem. (Patrz *Iliadę* II. 511.) W każdym kamieniu tego gmachu, wystawionego w kształcie katedry, znajdują się dwa otwory, w wielu z nich szczątki goździ z brązu, któremi przymocowywano brązowe płyty, zdobiące ściany marmurowe. Z całego gmachu została tylko połowa. Dr. Schliemann udał się z prośbą do greckiego towarzystwa archeologicznego, by mu pozwoliło zająć się odkopaniem tej najstarszej może w Europie pamiątki.

— W okolicach Rzymu znaleziono ostatniemi czasy kilka nowych dzieł sztuki. I tak w pobliżu Ostji wykopano olbrzymią głowę cesarza Septima-Sewera, a w Corneto pyszną wazę etruską, bardzo dobrze zachowaną.

— W Tauris, w Persji, było d. 28. Lipca rb. tak gwałtowne trzęsienie ziemi, że wiele domów runęło w gruzy, przy czem kilkaset osób życie utraciło. W kilku okolicach Westfalji nastąpiło także trzęsienie ziemi d. 5. Września rb. — Z Randazzo na Sycylji donoszą, że trzęsienie ziemi dokoła Etny słabnieje. Na górze otworzył się nowy krater, z którego bucha dym czarny i gęsty.

— Botanik rządu angielskiego, Walter Hill, wrócił z podróży do kraju Queens, która należy do najbogatszych w rezultaty. Na wysokości 800 metrów, odkrył on nieznane dotąd drzewo, którego kwiat, czerwony jak karmin, przewyższa piękność kwiatu *Colevillia raceniosa*, i *Lagerstroemia regia*. Hill znalazł także rodzaj palmy kokosowej, której dotąd nieznano, olbrzymią figę i kilka całkiem nowych krzewów.

— W tej chwili w Kanadzie odbywają się próby z nową koleją... nie możemy powiedzieć żelazną, bo relsy jej są z drzewa. Urządzenie jej zupełnie toż samo, co zwyczajnych kolei: chyba tylko szerokość nieco mniejsza. Relsy z drzewa okazują się o wiele ekonomiczniejszemi od żelaznych, tam gdzie lasy znajdują się w obfitości i niedrogie są, a przytem system ten wymaga mniej znacznych nasypów, aniżeli koleje żelazne, nadaje większą przyległość kołom i tym sposobem gwałtowniejsze spadzistości przebywać pozwala. Na sumę, koleje z drewnianemi relsami kosztowałyby nie więcej jak po piętnaście tysięcy fr. kilometer, co ułatwia niezmiernie nabycie ich okolicom pozbawionym jeszcze komunikacji kolejowych.

Statystyka.

— Marié Davy obliczył, że wysokość a raczej kolumna wody spadłej od października 1872 do czerwca 1873 wynosiła 644 milimetrów; podczas gdy w tymże samym perjodzie 1873—1874 ta kolumna miała tylko 260 milimetrów. Różnica ta wyjaśnia susze z r. 1874. tak szkodliwe szczególniej dla chodowców bydła, którym drożyzna paszy daje się we znaki.

— Więcej stu tysięcy kobiet i młodych dziewcząt zajętych jest przy fabrykacji koronek w okolicach Brukselli, Malines, Antwerpji, Bruges, Menin i Ypres.

— W Szwecji, która ma zaledwie 5 miljonów ludności, a więc mało co więcej jak Galicja, wychodzi 256 pism treści rozmaitej. Widać z tego, że tam ludzie czytać umieją, a więc czytają.

— W Szkocji posiadłości ziemskie są bardzo nierówno podzielone. Książe Sutherland posiada 950.000 morgów, hr. Breadalbane 360.000 morgów, książe Bucclengh 350.000 morgów itd. W ogóle na 14 miljonów morgów ziemi uprawianej, 26 większych właścicieli posiada 5 miljonów, a więc więcej jak jedną trzecią. Co do dochodów, to książe Bucclengh ma z ziemi najwięcej, ponieważ rocznie otrzymuje 1,227.613 talarów.

Szkolnictwo.

— Na tablicy plakatów w uniwersytecie w Getyndze przybity został dyplom pani Zofii Kowalewskiej, z domu Korwin Krukowskiej, której na mocy wydanego przez nią pisma, za odznaczającą się znajomość matematyki, filozoficzny wydział wspomnianego uniwersytetu przyznał godność „Doktora filozofji.“ O ile wiadomo, jest to drugi dopiero dyplom, udzielony przez ten uniwersytet kobiecie; pierwszy otrzymała córka Schlötzera.

— Wedlug *Odes. Wiestn.* w tym roku po raz pierwszy wprowadzone będą w wykonanie nowe przepisy moskiewskiego ministra oświecenia o mieszkaniach dla uczniów. Na zasadzie tych przepisów uczniowie, nie mający w mieście ródziców, bliskich krewnych lub opiekunów, będą umieszczani w lokalach wskazanych przez władzę gimnazjalną, między którémi rodzicom służy wybór. Do utrzymywania mieszkań dla uczniów mają przed innemi prawo osoby należące do składu władzy szkolnej. Cena, z góry za rok cały ustanowiona, nie może być w ciągu roku zmieniana. Na jednej stancji nie może być więcej nad 15 uczniów; w razie jeśli ich będzie więcej, przy uczniach znajdować się musi guwerner. Przepisy określają najdrobniejsze szczegóły dotyczące utrzymania i dozoru nad uczniami.

— Ciekawa księga pedagogiczna wyszła obecnie w Lipsku u Veita i Spół. Jest to dzieło Ludwika Noiré p. t. „Pedagogisches Skizzenbuch.“ Traktuje ona o szkole, metodach nauczania i wychowania, a wpośród tego kreśli typy humorystyczne pedagogów jak „pan nauczyciel Petulans“ Miser, Dr. Sublimis itd., któreby zaszczyt komedjopisarzowi przyniosły. Zaręcza zaś krytyka niemiecka, że humorystyka ta nie przynosi wcale ujmy gruntowności i naukowej wartości dzieła.

Gospodarstwo, przemysł i handel.

— Wystawa warszawska wypadła świetnie. Urządzona wytwornie i bogata tak w ilość jak i w jakość wystawionych przedmiotów, ściągała dziennie po kilkanaście tysięcy osób. Z Galicji było stosunkowo nie wiele osób. Niektórzy wystawcy przeznaczyli znaczną część swoich okazów dla projektowanego od lat kilku w Warszawie muzeum rolniczego i przemysłowego.

— Japonja, którą nazywamy częstokroć barbarzyńską, daje nam jednak pod względem równowagi budżetowej taki przykład, że niejednemu państwu Europejskiemu przydałoby się ją naśladować. Podczas gdy suma dochodu wynosi w niej więcej nad 460 miljonów fr., rozchód stanowi najwyżej cyfrę 325-330 miljon. fr. — z czego wypada nadwyżka 130 miljon. W rubryce rozchodów japońskich, zupełnie jak w Europie, ministerjum wojny zajmuje najwyższą pozycję: 40 miljon., za tem idą roboty publiczne: 28 mil. Najprodukcyjniejszą część podatków przynosi ziemia, dająca skarbowi więcej niż 210 miljonów frank. Pomiędzy podatkami japońskiemi są dwa dosyć ciekawe: taksa od królików i opłata nazwana Gay-Sha.

Pierwsza opiera się na modzie panującej w Japonji zakładania się o liczbę i kolor królików, które samica ma złożyć. Rząd korzysta z osobliwej pasji Japończyków do tej gry, i nakłada na każdą głowę króliczą dolar podatku: zkąd zyskuje około 260.000 franków. Opłata Gey-Sha nałożoną jest w wysokości 3 dolarów (15 fr.) miesięcznie na każdą herbaciarnię, odpowiadającą naszym kawiarniom, i przynosi około dwudziestu miljonów.

— W Szwajcarji wybuchła zaraza na bydło. Osoby zakupujące tam inwentarze powinne mieć się na baczności.

— Wielki przedsiębiorca Dreher ze Schwechat pod Wiedniem, wyrabia rocznie 1,100.000 wiader piwa, a płaci przeszło dwa miljony podatku. Nie jeden z książąt panujących nie ma tyle dochodu z całego swego państwa. Dreher jest najwyżej opodatkowanym w całej Austrji. Ma on cztery wielkie browary, w Schwechat i Steinbuch w Austrji, w Micholup w Czechach i w Tryjeście. Bawarja cała wyrabia w przecięciu rocznie 1,350.000 wiader piwa, a sam Dreher tylko o 200.000 wiader mniej. Te cyfry są najlepszą miarą jego olbrzymiej produkcji.

— Kwiaty najlepiej w następujący sposób konserwować się dają: Pierwszą jest rzeczą nie zawiele kwiatów w jedno naczynie wstawiać, wodę co rana odmieniać i każdy przywiędły liść, jak się go tylko postrzeże, natychmiast z całą należącą do niego łodygą odciąć. Przytem potrzeba do wody azotanu sodowego nasypać. Skoro się go tyle nasypie, ile z łatwością pomiędzy wskazujący a wielki palec wziąć można i to przy każdej odmianie wody wówczas ucięte kwiaty w szklance lub innem naczyniu przez czternaście dni, w całej swej piękności, się utrzymają.

Wojskowość.

— Kawalerja pruska otrzyma zdobyte na Francuzach szaspoty, które jednak będą skrócone o 19 centymetrów.

— Cała pruska artylerja polna, będzie do jesieni roku przyszłego zaopatrzoną w działa Kruppa.

— Armja angielska otrzymała karabiny systemu Henry.

— Inżynierja francuska zakłada forty wzdłuż granicy alzacko-lotaryngskiej. Przedewszystkiem zależy Francji na zabezpieczeniu przesmyków przez Wogezy.

— Pytano się częstokroć w czasie wojny 1870 i 1871, co robiła przez ten czas marynarka francuska. Otóż, pomimo że od chwili rozpoczęcia kroków wojennych marynarka handlowa niemiecka otrzymała wezwanie do rozbrojenia się i większa część jej kapitanów schroniła się do neutralnych portów, — okręty francuskie jednakże zdołały schwytać dziewięćdziesiąt statków niemieckich, z których 13 zwrócono Niemcom przy zawarciu pokoju frankfurckiego. Francuzi zaś stracili tylko trzy okręty handlowe, zabrane przez korwetę pruską, Augusta.

— Sułtan turecki zamówił w zakładzie Kruppa 200 dział, które zapłaci z własnej szkatuły; a Sułtanka Walida zamówiła na swój rachunek 50 dział.

Nekrologja.

— Maksymiljan Gerymski, bardzo utalentowany malarz rodzajowy, który lat kilka kształcił się w Monachjum, umarł temi dniami w Reichenhall (w Bawarji) na chorobę piersiową.

— Andrzej Oskard, radca szkolny i dyrektor gimnazjum imienia Franciszka Józefa we Lwowie, zakończył życie d. 26. września r. b. Nieboszczyk był zdolnym pedagogiem i filologiem. Jego tłumaczenie mów Demostenesa należy do najlepszych.

ROZMAITOŚCI.

— Ameryka nie może dotąd zdobyć się na własną sztukę. Zagłębiona w materjalizmie, nie ma poczucia piękna i prawdziwej fantazji, niezbędnej dla każdego artysty. Kilku młodych Amerykanów chciało atoli przyjść pod tym względem w pomoc swojej ojczyźnie. Oto osiedliwszy się we Włoszech, zaczęli ci panowie skupować dzieła sztuki od biednych artystów, których jak wiadomo nie brak we Włoszech, a umieściwszy swoje podpisy posyłali je potem za Atlantyk. Sława młodych artystów rosła w Ameryce, i kto wie do jakich doszła by była rozmiarów, gdyby szczególnego tego oszustwa nie odkryły były dzienniki włoskie. Uderzono na alarm. Ciekawe teraz zachodzi pytanie, jak w obec tego faktu zachowa się rząd włoski, a jak amerykański. Będzież to uważane za oszustwo pospolite?

— Często się zdarza w „Pałacu sprzedaży“ w Paryżu, że kto chce nabyć jaki pojedyńczy przedmiot, cały dział, do którego ten przedmiot należy, musi zakupić od razu. W Ameryce, jak słychać, nie lepiej pod tym względem. P. Jeruzalem Freeze jest byłym bankierem, eksadwokatem, eks-księgarzem, dawnym dyrektorem ajencji małżeństw i byłym pułkownikiem; pomimo jednak tej zmienności zajęć i wbrew przysłowiu „Kamień na miejscu“ itd.... posiada piękną fortunkę. Otóż na kursach ujrzał on pięknego konia i zapragnął go nabyć. Ale na tym koniu znajdowała się bardzo przyjemna wdowa, która stanowczo odmówiła wszelkiej negocjacji, mającej za cel jej wierzchowca. Eks-pułkownik nie ustępował w uporze wdowie i dla pozyskania konia jął zalecać się jego właścicielce, zdołał otrzymać jej rękę i tak jednym kamieniem zabił dwa ptaki: bo posiadł zarazem konia i piękną amazonkę.

— Włoski profesor Pancerie, obecnie prelegujący w uniwersytecie neapolitańskim, powrócił niedawno z naukowej wyprawy do Egiptu i przed kilkoma dniami w Akademji Umiejętności w Neapolu mówił o wężach. Pomiędzy innemi opis węża Naya obudził ogólny podziw. Profesor Pancerie przywiózł żywe okazy tego gatunku wężów. Gady te mają tę osobliwą właściwość, że uszczypnięte dosyć silnie w pewne miejsce na karku, sztywnieją i jak w kamień zmienione bez ruchu leżą; gdy się je w tem samem miejscu ale w innym kierunku naciśnie, natychmiast do życia i ruchliwości zwykłej wracają. Ta właściwość Nayi, zdaje się, że Mojżeszowi już musiała być znajomą.

— New-York zamyśla iść w ślady Paryża i podjąć także wielkie prace dla upiększenia i polepszenia hygienicznych warunków swoich. W tym celu nawet „pan Alphand“ tego miasta, Sir Wales, przybył do Paryża dla rozpatrzenia się w jego nabytkach z ostatnich lat dwudziestu.

— Jamer Gordon Bennett, właściciel dziennika New-York Herald, zrobił na swojem piśmie fortunę wynoszącą 50 miljonów franków. Co najmniej drugie tyle wydał, odkąd dziennik jego wychodzi.

— Zakonnicy katoliccy, wypędzeni z Niemiec i pozbawieni dóbr swoich, znajdują schronienie u Wysokiej Porty. Wielka liczba Jezuitów i Lazarystów osiedliła się w Konstantynopolu, w Syrji, w Azji mniejszej i zamierzają nawet budować tam klasztory.

— Niedawno sprzedano w Bostonie list a raczej bilet Jerzego Washingtona, za 175 fr.

— Pewien pisarz w Nowym Jorku podaje za rzecz prawdziwą historję biednego dziecka bez wykształcenia i wychowania, któremu wóz uszkodził tak rękę, że amputować ją potrzeba było. Ale po pogrzebaniu tego członka, cierpienia pacjenta stały się nader silnemi; na wszystkie zaś pytania pod tym względem odpowiadał, że coś łaskoce go w tę odciętą rękę. Ulegając tedy wyrażonemu przezeń życzeniu, odkopano odcięty członek, i, na wielki podziw widzów, ujrzano ogromnego robaka, który się w dłoni ulokował. Ten fakt jest nowym dowodem sympatji pomiędzy częścią gwałtownie oddzieloną od ciała, a niem samem. Jeżeli to wszystko prawda, dodaje tenże sam pisarz, to jakież muszą być cierpienia partji reformistów, od czasu, jak jeden z jej naczelników Mayor Havermayer obciął się sam i zagrzebał w jednej z mów swoich?!...

— Projekt do ciekawego billu, którego nie zdołano ocenić jeszcze na ostatniem posiedzeniu parlamentu angielskiego, będzie przedstawionym na najbliższej sesji. Ma on za przedmiot zawieszenie połowu śledzi, przez jeden lub dwa dni w tygodniu, a to przez miłosierdzie dla... tych ryb. Członkowie to jednego z towarzystw opieki nad zwierzętami wpadli na tak szczególny pomysł; rybacy zaś i armatorowie okrętów, ze swojej strony, zamierzają utworzyć syndykat z obowiązkiem bronienia ich praw przeciw adwokatom śledzi.

— Groch z czasów Mojżesza. Jenerał Anderson darował przed 3 laty p. Gardnerowi na wyspie Guernesey trzy ziarnka grochu, wyjęte z mumii egipskiej i liczące przeszło trzy tysiące lat wieku. P. Gardner posadził te ziarnka i doczekał się tego roku już wcale obfitego zbioru. Łodygi tego grochu mają po 7 stóp długości, i są im dalej od korzenia, tem grubsze. Kwiaty i liście nie są rozłożone wzdłuż łodygi, ale znajdują się gęsto zbite u jej końca. Kwiat ma być bardzo piękny, różowy i biały — strączki ziarna dają się jeść, ale są niesmaczne.

— Nigdzie zapewne w świecie nie ma tyle krokodylów, co w wielkich rzekach wschodniej połowy Sumatry. W samej tylko rezydencji Palembang 900 do 1000 indywiduów staje się corocznie pastwą tych potwornych zwierząt, jak świadczą o tem urzędowe raporty. W dziele swojem p. t. „Banka i Palembang“ Otto Mohnike szeroko opowiada o krokodylach z Sumatry: on sam widział, na własne oczy widział b o u a i j ' ó w (tak się nazywają po malajsku te jaszczurki pancerne), długich od 20—25 stóp a grubych na 10—12 stóp. Pewnego dnia w r. 1862, Mohnike podróżował po wyspie Banca. Noc zamierzał przepędzić w wiosce Kouppo, podzielonej na dwie połowy przez ujście małej rzeki. Z tych dwóch połów, jedna jest płaską, druga stanowi strome i skaliste wybrzeże. „Gdy popołudniu, opowiada ten podróżnik, wchodziłem pod werandę; zastawałem tam zawsze kilku Malajczyków z wioski, przybyłych dla złożenia mi swego uszanowania. Prosiłem ich zwykle siadać, częstowałem cygarami i herbatą, i naraz stawaliśmy się dobrymi przyjaciołmi, prowadzącymi poufałą pogawędkę. Pewnego razu, wśród takiej rozmowy, nagle podnoszę się, a raczej zrywam z mojego miejsca, przerażony. I cóżem ujrzał? rzuciwszy niedbałem spojrzeniem na drugi brzeg rzeki. Oto dwa wielkie krokodyle, długie od 13—20 stóp, na pół zagłębione w muł rzeki, — którą w tej chwili odpływ morza zredukował do kilku kałuż, przedzielonych ławami błota, — a pomiędzy temi dwiema poczwarami chichocącą gromadkę dzieci, pluszczących się w wodzie i grzebiących w mule! — „Uspokój się, zawołali, widząc przerażenie moje, dwaj malajscy goście. Znamy my się dobrze z krokodylami i one również z nami się znają. Są to przyjaciele wioski, mają życzliwość osobistą dla każdego z nas, i nikomu jeszcze najmniejszej krzywdy nie wyrządziły. Szczególniej zaś przyjaźnią się z dziećmi i lubią je widzieć igrające koło siebie.“ — I w istocie, to com widział, potwierdzało słowa malajczyków. Małe trzpioty skakały na potworne zwierzęta, siadały wierzchem na ich ogonie kręciły się w kółko na ich grzbiecie; a oba krokodyle przyjmowały bez najmniejszej nieniechęci te figle. Możnaby je było wziąć za martwe, gdyby były od czasu do czasu nie podnosiły nieco głowy, lub nie otwierały paszczy na całą szerokość i nie poruszały lekko ogonem. Dobre półgodziny strawiłem na podziwianiu tego osobliwego widowiska. Wreszcie, gdy zmrok zaczął zapadać, ziewająca młodzież wioski rzuciła muł rzeczny i rozsypała się. Wówczas i dwaj dobrzy jej przyjaciele, krokodyle, oddaliły się; jużto płynąc, jużto pełznąc po błocie i piaskach, dopokąd nie dosięgły ujścia rzeki. Malajczycy powiedzieli mi, że te dwa kajmany przybywają regularnie na to samo miejsce, codziennie, od pewnej liczby lat. Cała ludność wioski zna je; nikt ich nigdy nie drażni; nikt im nigdy najmniejszej przykrości nie czyni. One zaś ze swojej strony, od czasu kiedy nawiedzają Kouppo, nigdy nie zjadły ani człowieka, ani dziecięcia, ani też jakiegokolwiek zwierzęcia domowego. Widoczną jest rzeczą, że są wdzięczne za taki sposób postępowania z niemi; ale każdy czuje także, że pomściłyby się za najmniejszą urazę. Raz, pewien Chińczyk, pracujący w sąsiednich kopalniach cyny, strzelił do jednego z nich; krokodylowi nic się nie stało — ale zamiar zrozumiał i zauważył napastnika. W kilka dni tedy potem, schwycił i pożarł żywcem tego samego Chińczyka, w czasie gdy ten używał kąpieli w niewielkiej odległości od Kouppo, przy ujściu jednej z rzek miejscowych. Oto com widział i co mi opowiedziano.“

— Któż nie przypomina sobie hałasu, jaki czynili w swoim czasie zwolennicy doktryny spirytyzmu, przyznający nadprzyrodzoną siłę krążącym stolikom i stukającym duchom?! Były buchalter, człek nader pospolity, żeby nie powiedzieć więcej, był wielkim kapłanem tego nowego kościoła. Po jego śmierci, można było sądzić, że manja spirytyzmu zniknie z nim razem ze świata. Tymczasem rzecz się ma wcale inaczej, jak się pokazuje, ponieważ obecnie istnieje blisko trzydzieści tysięcy stronników tej dziwacznej doktryny, a co tydzień, w jednym z domów przy ulicy Molière w Paryżu, odbywają się posiedzenia i wywoływanie duchów. To wywoływanie odbywa się z wielką prostotą, i możnaby nawet powiedzieć, że towarzystwo to, wywołując cienie najsławniejszych i najznakomitszych w przeszłości ludzi: monarchów, wojowników, pisarzy, uczonych, postępuje sobie z nimi z pewną bezceremonjalnością. Duchy komunikują się z prostymi śmiertelnikami za pośrednictwem innych śmiertelników, uprzywilejowanych; nazwanych *medium*'ami, którym podają odpowiedzi, prowadzą rękę i pokazałyby się w najjawniejszy sposób. Towarzystwo to nie jest mitem, jakby o tem kto mógł sądzić. W pełni XIX wieku, w środku Paryża, istnieją grupy, czyli zbory spirystyczne, utrzymujące się z pomocą składek i zapalczywej propagandy.

— Hiszpano-Amerykanie mają krew gorącą, to rzecz wiadoma; ale pomysłowość ich i zaciekłość zwyczajna przy okazji agitacji wyborczych, przybiera niekiedy zdumiewające rozmiary. I tak, niedawno w Buenos-Ayres dwie partje stają przeciwko sobie: jedna popiera kandydaturę eks-prezydenta Mitra, druga pragnie wybrać pewnego obywatela nazwiskiem, Avellaneda. Rezultat tajnego głosowania wypada na korzyść Avellanedzistów; uprzedzeni o tem najpierw Mitriści, postanawiają użyć niewinnego podstępu. W tym celu fałszują skrutynium i po dokonaniu tej, maleńkiej operacji, zabierają się do publicznego ogłoszenia wyboru swego kandydata. Stronnicy Avellanedy, którym to w smak nie poszło, nie mogąc przebić się przez gęsty tłum wrogów do biora prezesa zgromadzenia i wykazać oszustwa, biorą się na sposób równie umiarkowany: rzucają dwie bomby Orsiniego w najgęstszą ciżbę adwersarzy. Na szczęście wybuch nie nastąpił. Niemniej jednak skutek tego manewru okazał się pomyślnym. Mitryści bowiem przerażeni i w panikę wprawieni, w jednej chwili uciekli na wszystkie strony; stronnicy zaś Avellanedy, korzystając z tego, przywrócili porządek w skrutynium. Koniec wieńczy dzieło; bądź co bądź jednak jeszcześmy dzięki Bogu, nie doszli do takiego obstawania przy prawach obywatelskich — w Galicji!

— Zniesienie domów gry w Baden, Wiesbaden, Homburgu i Ems przez rząd pruski grobową ciszą okryło te niegdyś tak wrzące życiem miejscowości. Cudzoziemcy opuścili te mety gromadnych pielgrzymek swoich, a wraz z niemi zniknęły dostatek i ruch handlowy. Za to Monaco... rozkwita!

Odpowiedzi Redakcji.

Wiel. ks. S. B. w P. Manuskrypt znalazł się; temi dniami zwróci go osoba, która go miała u siebie. Na dalsze zapytania odpowiedź listownie.

Boniunio w Z. Najlepszą gramatyką języka angielskiego, jest gramatyka Rykaczewskiego.

A. J. w Nowym Sączu. Będą, ale później. Jak się Pani mogłaś przekonać, pismo nasze stara się głównie o prace oryginalne. Samemi tłumaczeniami żyją tylko pisma słabe, a do tych nie chcemy należeć. Nic łatwiejszego jak redagować, tłumacząc.

W.Panu An. So. poczta Sambor. Mimo chęci najszczerszych, nie możemy w czasach teraźniejszych zająć się nakładem takiego dzieła. Co do współzawodnictwa, to jesteśmy z niego bardzo zadowoleni, gdyż wyjdzie ono na pożytek pism i kraju. Galicja powinna i chce czytać, a więc nie jedno jeszcze pismo może się w niej pomieścić. Potrzeba tylko wytrwać.

Treść Nr. 3.

O książkach popularno-naukowych przez Józefa Rogosza (c. d.); *Serce i ręka*, powieść J. I. Kraszewskiego (c. d.); *Obrazy z Anglji*, przez Sewera (c. d.); *Studja o sztuce w Polsce*, przez Józefa Rogosza (c. d.); *Baśń o żydzie wiecznym tułaczu*, studjum według Helbiga, przez B. Czerwińskiego (c. d.); *Życie*, z Wiktora Hugo, wiersz Wł. Ordona; *Pamiętniki z r. 1831*, Ignacego hr. Komorowskiego (c. d.); *Pogadanka*, Jana Lama; *Piśmiennictwo polskie*, recenzja Dr. Karola Libelta; *Piśmiennictwo zagraniczne*, M. hr. Dzieduszyckiego; *Kronika Paryska* przez J. Chamca; *Ze świata naukowego*: Nowa Gwinea przez L. Tatomira (dok.); Wykopaliska Trojańskie, przez Dr. E. Burzyńskiego (c. d.); *Bibliografja*. — *Wiadomości ze świata*. — *Rozmaitości*. — *Od Redakcji*.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.